Miłość pasterska

4

1

Władysław Orkan

Miłość pasterska

Wydanie drugie, zmienione.

3.

2

Miłość pasterska

Wieczór lipcowy był — pogodny, ciepły.
Księżyc nad Pustkę wyszedł pełnią
I z poza smreków, które w milczeniu zakrzepły,
Z poza stręczystych chmur,
Które się jak baranki wełnią,
Zajrzał na moje osiedle...

Owiał mi duszę czar kochanych gór —
Tchnienie, o jakiem śnią prastare jedle.

W te razy zaszedł urok nowy.
Ktoś w Pustce, skryty mrokiem,
Na fujarce smrekowej,
Na dziwnym, zapomnianym instrumencie
Zagrał mi dawną nutę...
Zadrgało serce, życiem strute —
I pod przemocnym jej urokiem
Zbaczyły mi się w tym momencie
Pasterskie moje czasy...
Kiedy to jeszcze stały hrube lasy —
Kiedy we wierzchołkach drzew

Kołysały się orle gniazda —
Kiedy w uboczach rozlegał się śpiew,
Niewolący i ucho i serce
W zlęknionej czarem pasterce...
Kiedy to długowłosy gazda,
Jak pniak zbutwiały, siwy,
W pasterskiej, dymnej kolebie,
Przy czasie słoty,
Gdy, jak mgły ciężkie, snują się tęsknoty,
Objawiał słowem różne cuda-dziwy,
Z wieści i sam ze siebie...
Kiedy to na słonecznych polanach
Życie kwitnęło młode —
Rój młodzi krzepkiej ognił się przy sianach,
Dopieroż przy zabawie!
A Śmiech, Pustota, w skwarnej tarzały się trawie,
Porwane przez swobodę...
I wreszcie kiedy przy zorzy wieczornej
Pasterze woły spędzali,
Zstępując z polan w gromadce honornej,
I na fujarkach grali....
A nuta szła w dół — na roztoki,
Na pola, mrokiem osnute...
I kiedym teraz usłyszał tę nutę,
Taki mię objął żal głęboki,
Bez dna, nieukojony,
Że łzom nie mogłem dać ustanku.
Coś we mnie wołało łkaniem: »Franku! Franku!«
Jakby to wołał czas miniony...

Przeszedłem poprzez ten świat,
O którym tam na polanach śniłem —
Tyle straconych lat —
Walczyłem o coś — żyłem — —

Oto powracam duszą, bólem strutą..
. . . .
O nuto! dawna, niepowrotna nuto!...

WOJTUSIOWE LATO

10

I.

Na stromem zboczu, pod garbem grzbietowym na pół wysokości góry (Turbaczyka) wyświeca się z ciemnych wrębów nieduża polana, na północ otwarta, najbliższa wsi —: widać też z niej całą dziedzinę, wszystkie osiedla, jak na dłoni.

Na tej polance, niewiada czemu Płoszczaną nazwanej, pasł woły swego ojca Wojtuś, czternaste lato poczynający.

Wygnał wczas rano, jak co dnia. Woły, wygłodniałe przez noc, łakomie strzygły trawę, mokrą jeszcze od rosy, a Wojtuś stał nad nimi, z zadowoleniem pozierał, jak skraja przykładnie szorstkimi ozorami zawijały paszę, i rozpatrywał się po świecie.

Rano było pogodne. Słońce już oświecało prawie całą dziedzinę — w uboczy, schylonej pod pać, jeszcze trwał cień. Tem wyraźniej malowały się i przybliżały oczom pasterza: osiedla, w dole leżące, trawniki pod domami, płaty zbóż, lnów, koniczyn, światłem poobsypane.

Wojtuś, pełen krzepkiej w sercu radości, jaką darzy pogodny ranek, wodził oczyma po słonecznej dziedzinie, uważał, jako syn gospodarski, o ile się zboża zapolały a lny rozkwitły, śledził z zajęciem, gdzie już dymy z nad chałup się rozeszły, a gdzie dopiero na śniadanie palą, gdzie bydło na ugory wygnali, a gdzie dopiero ulicami od chałup wyganiają.

Najczęściej jednak wracał oczami ku jednemu osiedlu. I ani się postrzegał, jak się tu z częstem nawrotem najdował. Najpilniej też ze znaków miarkował, co w osiedlu tym ludzie robią, zwłaszcza w chałupie skraja od ulicy.

— Dym się rozniósł z nad dachu. Musieli pośniadać. To teraz pewnie stroją sie do pola...

Obszedł oczami po dziedzinie, postał przy inszych osiedlach, poobzierał się nawet daleko, jak widok się odsłaniał, i znowu wrócił.

— Nie widać jeszcze... Może dopiero śniadają?

Począł od nowa rozpatrywać się po dolinie. Z trawników, nakrapianych żółtymi jaskrami i siwemi pałkami ząbru, przechodził na przybielałe zagony jęczmion i orkiszów, na ciemne płaty koniczyn, na błękitne pólka lnów, wędrował głowami nierówno stykających się różnozielonych kawałków, włóczył się dookoła młak i młaczek miękką porosłych trawą, rachował miedze w jednym rzędzie, zatrzymywał się przy kępach, przy każdem spotkanem drzewie, szedł z pasterzami, wyganiającymi

z jednego osiedla bydło, przez całą wygonną ulicę aż ku pastwisku i bawił wśród nich dłużej, niż zajęcie radziło — wreszcie, miarkując, że już dość czasu stracił, wrócił oczyma ku »swojemu« osiedlu.

— Czemuż ona nie wygania? — pozłościł się już w niecierpliwem sercu. Całą nakazującą wolę wziął w oczy, wpatrzył się ostro w osiedle i powtórzył parokrotnie, niby zaklęcie mocne:

— Wyżeń-że! Wyżeń! Wyżeń!...

Ale zaklęcie nie poskutkowało. Nikt się z chałupy nie ukazał.

Wojtuś już przecie nie oderwał się oczami. Przyczaił się w ulicy, można rzec: przywarował u wyjścia z osiedla i czekał. Postanowił już czekać cierpliwie. Drętwiał w ciele, nudził się i niecierpliwił, jakby w rzeczy tam stał koło płotu.

Minęła chwila jedna — druga — czas dłużył mu się niepomiernie. Nareszcie!... Z osiedla, jak dwa światła, wyszły łyse woły — za nimi Kasia...

Poznał ją z daleka i aż drgnął cały z radosnego wzruszenia. Przywarł odrazu oczami do jasnej jej postaci i prowadził ją przez całą ulicę i dalszą wygonną drogę aż ku stokom, póki jej schylenie lesiste wraz z wołmi nie przesłoniło.

Teraz począł w niecierpliwości serca i oczu pacierzami rachować, rychło się z wołmi we wrębie ukaże. Miał już odrachowaną miarę (nieraz ją sprawdzał!), wiedział też, że Kasia musi gnać jedyną drogą wrębem poprzez ubocz, blizką, bo jeno

potokiem dzieloną, i schyloną ku stronie, na której on stał z wołami.

Szepcząc »Zdrowaś Marya« i odliczając zmówione na palcach, modlił się zarazem gorąco o łaskę ujrzenia Kasi. Do Matki Boskiej miał zaufanie zupełne, większe, niż do własnej matki. Zwierzał się Jej ze wszystkiem. Ona też nie odmawiała nigdy jego prośbom.

Niezadługo na przechyleniu zaświeciły białe czoła wołów (jak on je kochał! jak im rad był zawsze!). Wychyliły się wnet całe, czerwone i okazałe, a za nimi w zapasce czerwonej, w chustce niebieskiej — Kasia...

Wojtuś wiernemi oczami przypadł ku niej i już jej nie odstąpił. Wierzył, że musi widzieć abo czuć te jego oczy z oddali, tak strasznie przysłużebne. Modlił się ku niej cale nieznaną mową, która niewiada skąd się rodziła. I patrzał — patrzał — już nie oczami, ale duszą. Czuł, jak krew odeszła mu z twarzy, jak serce nierówno się tłucze, jak nogi słabnieją pod nim — nie oderwał by przecie oczu, choćby omgleć padło.

A Kasia gnała woły zakosami, przegibując się i mieniąc barwami stroju. Zdawało mu się, że często zwraca twarz jasną ku niemu, że nawet patrzy z utęsknieniem ku Płoszczanie. Nie przysiągłby na to przecie, bo mgłą i łzami zachodziły mu źrenice. W połowie zbocza, naprzeciw prawie, rozwiedła głos i zaśpiewała:

»Kalina sie kali
W kalinowym lesie —
Siwy koń, siwy koń
Siodełecko niesie...«

Zadźwięczało przeczyście po wrębie — po lesie — i poniesło sie dołu... A Wojtusiowi jakby sto ptaków rajskich zadzwoniło. Osłabł doznaku sercem. Już męką patrzał za nią, gdy podnosiła się z wołmi — ku wierchu. Stamtąd, już z góry, puściła rozwodny głos w dolinę:

»Ka sie popodziały —
Co ładnie śpiewały?
Powydawały sie —
Pozabacowały...«

I gasła zwolna w gibrzynach wysokich. Czasem chustka jej mignęła jeszcze z poza smreczków, jak skrawek nieba — hań u wierchu.

Wojtusiowi zdało się, że dzień się chmurzy, że słonko zachodzi. I wreszcie tam — za wierchem — zaszło jego słonko, radość oczu. Wnetby był płakał. Bezwiednie prawie zajął woły i gnać je począł ku wierchowi. Nieodparcie ciągło go coś za nią.

Osatał się dopiero na wyżniej polance. Przypomniał sobie, jak mu ojciec ostro przykazował, aby się z Płoszczany nie ruszał z wołami, aby nie gnał za wierch ku pasterzom.

— Pamiętaj, żebyś mi sie krokiem z polanki

nie ruszył. Tu se paś, tu trawa jest, to sie woły najedzą. Tam ino figle z pasterzami, bezeceństwa, a woły, zganiane w jedno miejsce, ino sie rogami sermują.

Raz nie posłuchał, pognał z pasterzami, i omało że paskiem nie dostał wieczerzy. Wtedy jeszcze miał na obronę to, że słota trwała, zimno było, a tam pasterze w kolebach palili — bo tego, że mu sie samemu cnęło paść, ojciec nie chciał wziąć nijak na uwagę.

Cożby teraz powiedział? Jakby się usprawiedliwił? Dzień pogodny, słoneczny, aż powietrze drga — trawy dla wołów nie brak... Świat widno dookoła — ludzi pełno po polach — wesoło... Tak ojcu może się przedstawiać. Nieraz, jak się Wojtuś skarżył przed nim, że mu sie cnie samemu, powiadał:

— Ja by se za raj uważał, jakbych mógł tak ślebodnie przy wołach wypocząć. Coż ci sie tam dzieje? Widok masz — głód ci nie dokucza — a żeś sam... Ho! ho! dziecko! Chciałbyś ty kiedyś sam pobyć — jak ci ludzie dopieką...

A powie ojcu, że go coś gwałtem za wierch ku pasterzom ciągło? — Tego ojciec nie pojmie. Pocznie sie wypytować, jak sędzia surowy: »Jak? co? gadaj tu zaraz! Figle pewnie i letkomyślnictwa?«

A Bóg świadkiem, Stróż Anioł, co go na krok nie odstępuje, i Matka Boska, która w jego serce

czyste patrzy, że o nic mu innego nie idzie, ino o to, żeby na Kasię patrzeć choć zdaleka i słyszeć jej śmiech dźwięczny... Ale tego ojcu by nie zdradził, za nic w świecie! Raczej by wolał, żeby go o najgorsze posądzili...

To rozważywszy w myśli, zawrócił woły i z ciężkiem sercem zegnał je nazad na Płoszczanę.

Przywitała go nuda znajomego aże nadto miejsca. Ta polanka, która wydawała mu się kątkiem raju, kiedy pierwszy raz na nią wygnał woły, teraz wydała mu się jak więzienny plac, murem ojcowskiego zakazu otoczony. Miał swobodę, a nie miał.

Ten poniewolny przymus ciężył mu srodzej, niż najprzykrzejsza słota. Gorzył się w sercu i na ojca i na to, że musi sam paść i że nie jest panem swoim — wszystko go gniewało, na co pojrzał — na jedne woły pozierał z miłością: widział, że one jedne rozumieją jego strapienie serdeczne, i co chwila obracają ku niemu swoje dobre, wilgotne, współczujące oczy.

Zajął je i podegnał ku większej trawie na skraj wrębu. Niechajże se użyją za to przywiązanie. Nawet by im trawy w sadzie nie żałował.

A sam dalej gryzł gorycz przymusu. Jak pomyślał, że cały dzień, aż do wieczora tak tu musi po tej polance znajomej z wołmi samo-we-trój swijać, to aże łzy mu w oczach świdrowały. Le-

dwo że się opanował, i że płaczem szczerym nie wybuchnął.

O nic mu nie szło — tyle dni dawniej sam tu spędzał w swobodzie serca, śpiewajęcy, i ani mu się nie zacnęło — ino, że Kasia tam pognała, a on tu musi paść... Jaka to niesprawiedliwość!

Od czasu, jak ją ujrzał w uboczy, gnającą za wierch, poczęła się ta jego męka... Leciała za nią myśl sama, ani jej wolą powstrzymać — jak i oczy, urokiem nieprzepartym rwane...

»Kiedych cie uwidział
W zielonej ubocy —
Hej!... zamiłowały sie
W tobie moje ocy...«

Zanucił sobie cichutko samemu, i jeszcze smutniej mu się uczyniło.

Słońce wyszło ponad wierch i oświeciło zbocze. Zapaliły się we wrębie różowe pola zakwitłej gibrzyny, wszeleniejakie trawy podniesły się jakoby ze ziemi, każda swoistą ożywiona krasą, że różność była w strojach jak w weselu; z wierzchołków, wieńcami w skrajach wrębu lub po polankach kępami stojących smreczków, poczęło się światło siać na niższe rozczapierzone gałęzie i odstające gałązki, padając na odsłonięte pnie, na ziemię — z ozłoconych szpilek; cud się dokoła czynił.

A Wojtusiowi nic to wesela w serce nie przy-

dało — gdy dawniej radośnie witał nigdy nie spowszechniały cud słońca. Patrzał, bo patrzał, ale jakoby w śpiączce, a cały myślą stał za wierchem — tam mu słońce grało, tam świat mu się uśmiechał...

— Co to w tem?... — stawił sobie pytanie, osatawszy się nieco. — Czy urok?

Nie wierzył jednak w uroki. Coś przecie musi być. Spodziewał się już tego oddawna. Tęsknił za tem. Tyle tęsknoty, westchnieniami, śpiewem w powietrze posyłanej... Aże ją ujrzał... w tej uboczy... Dlaczego wtedy?

Znał ją przecie oddawna. Jakże — strykowa Kasia... Ojciec jej w rzeczy nie był jego strykiem, ale tak go już z mała nazywał, jak nazywał chrzesny-ojcami wszystkich na osiedlu gazdów.

Kasia była dużo od niego starsza, cosi o lat dziesięć, abo więcej. Temu też równą mu się zdała —: zrozumie jego tę wielką tęsknotę... Na rówieśne dziewczęta abo młodsze nie zwracał uwagi, jako na głupie jeszcze, nierozumiejące. W niej zaś wszystko było mądre: te oczy — niebo samo, te włosy, jak pasma z promieni słonka, ta chustka nawet (taka powinna być). A najmądrzejszym był jej śmiech, już nie do opisania! Kiedy się śmiała, świat cały musiał się cieszyć. I w tem ta mądrość była, że radością, weselem, szczęściem, rajem, niewoliła świat...

Wojtuś wierzył, że niemądrość w niej miejsca

dało — gdy dawniej radośnie witał nigdy nie spowszechniały cud słońca. Patrzał, bo patrzał, ale jakoby w śpiączce, a cały myślą stał za wierchem — tam mu słońce grało, tam świat mu się uśmiechał...

— Co to w tem?... — stawił sobie pytanie, osatawszy się nieco. — Czy urok?

Nie wierzył jednak w uroki. Coś przecie musi być. Spodziewał się już tego oddawna. Tęsknił za tem. Tyle tęsknoty, westchnieniami, śpiewem w powietrze posyłanej... Aże ją ujrzał... w tej uboczy... Dlaczego wtedy?

Znał ją przecie oddawna. Jakże — strykowa Kasia... Ojciec jej w rzeczy nie był jego strykiem, ale tak go już z mała nazywał, jak nazywał chrzesny-ojcami wszystkich na osiedlu gazdów.

Kasia była dużo od niego starsza, cosi o lat dziesięć, abo więcej. Temu też równą mu się zdała —: zrozumie jego tę wielką tęsknotę... Na rówieśne dziewczęta abo młodsze nie zwracał uwagi, jako na głupie jeszcze, nierozumiejące. W niej zaś wszystko było mądre: te oczy — niebo samo, te włosy, jak pasma z promieni słonka, ta chustka nawet (taka powinna być). A najmądrzejszym był jej śmiech, już nie do opisania! Kiedy się śmiała, świat cały musiał się cieszyć. I w tem ta mądrość była, że radością, weselem, szczęściem, rajem, niewoliła świat...

Wojtuś wierzył, że niemądrość w niej miejsca

Postanowił obejść z wołmi dokoła polanę, trzymając się cienia, aby woły mogły się paść. W dniu upalnym najczęściej tak robił. Każdy przykładny pasterz nie postąpiłby inaczej.

Przywrócił przeto woły ku krajowi i pomykał się za nimi w miarę, jak się pasęcy posuwały. Starał się nie myśleć o niczem, jeno o tem, by woły się napasły, nim upał się wzmoże: bowiem wtedy ślepcie i bąki najzajadlej tną, woły jeno w las patrzą, gziją się za każdem bzyknięciem, i ani gwary o paseniu.

Pozierał przytem w stronę swojego osiedla, choć nie widno go było: pagór zasłaniał. Spodziewał się, że ojciec wyjrzy, obaczy i bedzie rad, że on tak przykładnie pasie. Tem większego zaufania nabiere do jego pasterskiej cnoty, nie bedzie już tak dawał pozioru, zwłaszcza, jak roboty przyjdą, i może uda mu się w który dzień niepostrzeżenie przegnać woły za wierch.

Ale ojciec od chałup nie wyjrzał. Zapewne wyjrzałby akurat wtedy, jakby Wojtuś pognał ku pasterzom. Złe bowiem wtedy się trafia, jak się go najbardziej nie chce.

Wojtuś zabobonnym był, wierzył w różne złe i tajne moce. Aby je unieszkodliwić, nie opuszczał rano i wieczór pacierza, żegnał się przed każdem przedsięwzięciem, a po śniadaniu, nim wygnał, kiedy woły z obory wypuszczano, gotowy do wygania, z biczyskiem w ręku wpadał do izdebki

i przed obrazem Matki Boskiej zmówił zawsze »Zdrowaś Marya«.

I był na dzień, jakibądź przyjdzie, spokojny. Pewnym był w sercu, że mu się nic nie może stać złego.

Ten obraz najbardziej ze wszystkich lubiał. Święta Barbara, co nad oknem wisiała, zdawała mu się jakąś wielką panią, święta Katarzyna znowu wolowatą, święty Franciszek zaś całkiem był podobny do braciszka, co po kweście chadzał i tabakę co chwila do nosa zapychał. A Matka Boska na tym obrazie tak była ślicznie udana, że aż serce tajało na Jej widok. Wysmukła była i w niebieskiej sukni, białą wstęgą przepasana, stała stopkami na okrągłej ziemi, a u stópek Jej wił się smok — trzymała na lewem ręku małego Panajezusa, który miał znowu w ręce krzyżyk, o długiej bardzo lasce, ostro zakończonej —: tę laskę ze swawolnym uśmiechem wbijał w oko smoka. Ale to jeszcze nic. Najcudniejsza ze wszystkiego była twarz Matki Boskiej, tak piękna, jakiej na ziemi Wojtuś nie przypuszczał, wierzył, że z nieba być napewno musi — i oczy, takie dobre i tak patrzące prosto w serce, że nicbyś już przed niemi nie skrył. I gdzieś się obrócił, to patrzyły za tobą. Te oczy Wojtuś wszędzie na sobie czuł. Tym oczom poddawał się w opiekę. Wiedział, że go wszędzie będą strzedz i chronić od nieszczęścia.

Raz doznał na sobie ich cudu... Było to przed

paru rokami — w sierpniu. Już na polanach trawy posiekli, i tam miał Wojtuś gnać. Jak zwyczajnie codzień z rana, zebrał się, wypuścił woły i wbiegł do izdebki na »Zdrowaś Marya«. Potem zajął woły i pognał.

Dzień był posępny, szary, w uboczy mgła leżała. Wojtuś, że to smutno mu było w sercu przy takiej pogodzie, przygwizdywał sobie drogą i nucił różne śpiewki, ale skoro wygnał do uboczy i z polany najbliższej słyszał już pasterzy, (przez mgłę ich dojrzeć nie mógł) postanowił gnać cicho, aby tem większa uciecha była, jak go uj rzą

Woły szły drogą w parze, powrozem za rogi. powiązane, aby się nie rozchodziły, a Wojtuś pobok nich, krajem drogi. Las wtedy niedawno ścięto w tej uboczy, popode drogę pełno było złomów, gałęzi i zajazienia. Gdzieś tam w górze, przy wierchu ktoś tłukł się — słychać było odgłosy drągów i fólg: spychano docięte drzewa. Widzieć nic się nie dało, bo mgła leżała do ziemi.

Wojtuś prawie gnał woły zakrętem pod najbardziej stromem schyleniem uboczy. Nade drogą rozeznał przez mgłę kupę zepchniętych drzew, ze skóry ołupionych, napoprzek leżących nad dwoma pniami. Naraz usłyszał w górze w uboczy dudnienie — za chwilę przeciągłe: »Waruj!« Potem głośne już dudnienie. Pojrzał do góry i zmiertwiał. Obaczył we mgle, podskakujące wysoko nad ziemią, na poprzek pędzące drzewo... Prosto na nie-

go... Wiedział, że kupę drzew przeskoczy — na drogę spadnie... Ale już ani czasu do ratunku. Wiedział, że zginąć musi. Jeden moment. I w pół tego momentu, jak ptak przelatujący poprzed oczy, migło mu życie całe od kolebki... W drugiem mgnieniu — jedna myśl — polecenie się w opiekę —: »Maryo!...«

Co się z nim stało potem, nijak nie może przybaczyć. Musiał jednak ostatkiem przytomności krzyknąć i skoczyć strasznie w dół. Albo też siła go jakaś odniosła... Bo pasterze, skoro usłyszeli krzyk jego i przybiegli co tchu, znaleźli go w łomach podedrogą — mocno skaleczonego po twarzy i rękach, ale zdrowego w ciele. Drzewo padło na drogę w to miejsce, gdzie stał, wołu jednego skwasiło na piekne, a drugiego poraniło... Tych wołów strasznie mu było żal potem, jak się obaczył.

Pozierał teraz na tę ubocz — ku temu miejscu nieszczęsnemu — tam bowiem najwyraźniej i najdokładniej cień oznaczał czas, jako że to schylenie było ku północy. A po cieniu miarkował godziny. Widział, że już nadchodzi południe: cień prosto na dół padał.

Z wołmi obszedł dopiero pół polanki. Woły też, czując czas przypołudnia, poczęły postawać i już nie miały woli się paść. Zajął je i popędził ku studzience, którą sam był rękami wyrobił. Naprzódy sam się napił, a potem je po jednemu na-

poił. Z lubością patrzył na nie, jak, wypragnione, piły i nozdrzami oddmuchowały suche liście buczyny, spadłe na powierzchnię. Czuł dla nich przyjaźń serdeczną, rozumiał je, miał czas je poznać, bo już od kilku lat je pasał; widział ich rozum, dobroć, przywiązanie, a nawet odwagę. Często stawało mu w pamięci zdarzenie, które go najbardziej z nimi zprzyjaźniło.

Pasł w jedno lato z pasterzami, już po skoszeniu łąk — na Spalonem. A że to daleko było, nocywywał tam z wołmi w kolebie, albo woły zawierał do koszara z inszemi, a sam z towarzyszami schodził po żywność do domu.

Na jedną noc ojciec kazał mu woły zająć do chałupy, bo na drugi dzień mieli zwozić z pola. Zbiórki były.

Więc pod wieczór odłączył je od innych i pognał. Zmrok już był gęsty, kiedy przygnał na Turbaczyk. Z Turbaczyka droga wiedła na polanę niższą, siodłem grzbietowem przez las — jeszcze wonczas niewycięty. Skoro więc w ten las zegnał i już był w połowie, usłyszał raptem tupot i trzask gałęzi przed sobą. W ciemności dojrzeć nie mógł — ale zaraz z odgłosu poznał, że dzik przepędził poprzed woły. Zmiertwiał ze strachu.

W te razy jak się jeden wół, Kwiatoń, puści w las na dół po uboczy — to ino dudnienie straszne było słychać i trzask łamanych złomów — tak gnał za dzikiem ku roztoce...

Wojtuś popędził drugiego, który został, i wyszedł z nim na polanę. Tu na otwartem miejscu w brzasku od zorzy zachodu zatrzymali się.

Wtedy tamten na dole zaryczał — a ten mu rykiem odpowiedział.

Za chwilę dość niemałą wyszedł z kraja lasu Kwiatoń, ciężko dyszący. Radośnie przywitali się. I Wojtuś je zająwszy, pognał.

Odtąd byłby z nimi puścił się do najdalszej roztoki — po nocy — o każdym czasie — pewniejszym przy nich się czuł, niż przy dwóch śmiałych towarzyszach.

Dbał też o nie. Nieraz im pokryjomu przed ojcem siana za drabinę nakładł, soli podał, a bicza nigdy nie ośmielił się na nie podnieść. Gdy raz ojciec, nagniewany, pobił Kwiatonia, to płakał ze żalu.

Więc napoiwszy je do syta, zajął je i podegnał do cienia ku gęstwinie smreczków, aby im bąki nie tak dokuczały.

Woły, napasione i napojone, poległy zaraz, ciężko postękując, i poczęły źwiękować. A Wojtuś dumał teraz, co ma ze sobą począć. Południe — trzebaby jaki obiad ustroić — miał ze sobą ziemniaki do pieczenia, ale, że upał był, nie chciało mu się parzyć przy ogniu. Wolał już nie obiadować.

Przyszło mu na myśl, że w Groniu nad po-

lanką, widział kiedyś agrest leśny. Jeszcze zielony był. Nateraz może już dojrzał.

Poszedł wrębem ku górze i wyspinał się po skałach i kłodach butwiejących aż pod sam wierch. Znalazł więcej, niż się spodziewał, bo prócz agrestu jeszcze parę krzaków pożyczek leśnych. Cierpkie były — ale w tym wieku smak nie przebiera.

Rwał kosmate owoce agrestu i czerwone jagody pożyczek i wysysał z nich smaki łakomie. Dumał jeszcze urwać ponadto i zanieść bratom młodszym do chałupy.

Naraz odskoczył z przestrachem —: obaczył koło krzaka czarną z łańcuszkiem na grzbiecie żmiję, wyciągającą ku niemu pyszczek z widełkowatym języczkiem.

Już go odeszła ochota na agrest. Zabrał się z nawrotem i zeszedł na dół, ku polance.

Woły jeszcze źwiękowały. Więc położył się opodal w cieniu i odpoczywał.

Słońce przechyliło się z południa — upał w powietrzu był wielki, tak, iż go włada w członkach odchodziła.

Leżąc na wznak na trawie, przymknął nużone światłem oczy i dumał, że uśnie na chwilę. Ale wyobraźnia nosiła go, jak piórko lekkie, wiatrem porywane. Najczęściej zalatywał za wierch — na polany. Widział pasterzy, baraszkujących w skwarze przypołudnia, i Kasię wśród nich jak słonko

rozśmianą, darzącą szczęściem każdego, kto się w blizkości jej miał łaskę znaleźć. Żywo stanęła mu na oczach. Zdało mu się, że znajduje się ciałem tam między pasterzami i patrzy w nią, a błogość serce mu przepełnia. Śmiała mu się twarz cała, jakby istnie tam był.

Bał się myślą oderwać, aby nie stracić tej rozkosznej złudy. Tu się prawie że nie czuł — całą uwagę tam przeniósł, chcąc jak najwięcej rzeczywistości wydobyć z marzenia. Wodził się z pasterzami rówieśnymi, starszym docinał ukąśliwemi słowami, a co chwila twarz ku niej obracał, po dary oczu i uśmiechów.

I tak się w tem marzeniu zapomniał, iż ani spostrzegł, jak czas ubiegł. Ocknął się dopiero, skoro uczuł w blizkości sapanie i gorący oddech wołu na twarzy. Kwiatoń, widząc go już tak długo bez poruszenia leżącego, przyszedł zaniepokojony obaczyć, co mu się stało.

Wojtuś ze ździwieniem zmiarkował po słońcu, że już śródwieczerz. Zdawało mu się, że chwilę jeno tam za wierchem bawił. Ze smutkiem stwierdził, że to ino złudzenie było, nie istność. Ale choć z tego rad był, że sporo dnia tymczasem ubyło, i że już prędzej do wieczora zejdzie.

Popędził woły na środek polanki, bo już upału nie było się co obawiać. Usiadł wyżej nad nimi i rozglądał się po świecie.

Teraz cała dziedzina, rozłożona w dole, która

rano radosną krzepkością jaśniała, była — rzec można — objęta sennem zleniwieniem, zrozumiałem po skwarze południa; lecz już chłodny cień odwieczora trzeźwił ją i przywracał krzepką żywość polom. W wyrazie jej jednak miast radości, przebijała się poprzez rumieńce powaga, która szerzyła się z czasem i rosła w surowość, im bliżej zdawał się, po lasach jeszcze z mrokami przygarbionymi sunący, wieczorny chłód.

Powaga pól wieczorna udzieliła się i myślom Wojtusia. Popadł w zadumę — w odczucia niejasne, nieokreślone słowami. Wstawała w nim — jak już nieraz — tęsknota za czemś, co gdzieś jest — być musi — inne, a rzeczewiste, jak wszystko, co dotąd na ziemi poznał. Serce mu o tem szeptało. W chwilach podobnie świętych wsłuchiwał się w ten szept, ale było to, jakby nieme tykanie zegara o wieczności. Nie mógł ani na włos zmiarkować. Czuł jeno, że w tych niemych znakach zaklęta jakaś wieść o skarbie, którego nawet pojąć: życiem-li, czy zatratą dla tego, kto go znajdzie? I stąd trwoga, a zarazem ciekawość większa od trwogi — nieraz prawdziwą tęsknotą wstająca... Musi coś być — dumał — ku czemu straszną miał wolę. I dziw — przeczuwał, pewnym był w przeczuciu, że dojdzie — dojść musi! Ani cieniem niewiary nie wątpił. Dróg nie znał. Jedno wiedział: że musi przejść przez »świat«.

Teraz oto, idąc za spadem wód ku północy,

oparł wzrok o ostatnie, w sreżodze słonecznej tonące góry. Potąd, po widnokrąg, znał oczyma kraj. Dalej myślą wybiegał na pola — i niewiadomo, czy pola — nieznane. Czuł, że tam jest ten »świat«. Miał o nim bardzo niejasne pojęcie. Słyszał, że ludzie idą »we świat«, wracają »ze świątu«. Nie wiedział, jak się tam dostać, jakim cudem — ale ani chwili nie zawątpił, że może do tego »świata« nie dojść. Więcej — wierzył, że cały ten »świat« nieznany przejdzie. Tak mu szeptała tęsknota.

Światła, bijące z zachodu, pociągnęły ku sobie wzrok Wojtusia. Z radosnem źdźiwieniem ujrzał, jak mu chwile odwieczerza prędko zleciały. Słonko stało już nad Babią górą i poczęło się zaczerwieniać. Cuda przedziwne były, gdy zaszło za smugę mgły. Oto rąbek chmurki zapalił się szczerem, przejaśnie świecącem złotem, a ku ziemi wystrzeliły z poza niej świetliste miotły i rozpuściły pył słoneczny po dolinach. Trwało tak chwilę.

Wojtusiowi tej radości jeszcze brak było, że nikomu nie mógł tego zjawiska pokazać, że sam się ino temu cudował oczami.

Wreszcie promienie poczęły się tracić, ognie na brzeżkach chmurki gasły — słońce wychyliło się, ale już mocno czerwone, i widziało się większe, a tak obrane z blasku, że można było oczyma w nie patrzeć.

Patrzył też w nie Wojtuś, a co na ziemię wzrok przeniósł, to wszędzie widział słońca, jeno

różne: czerwone, żółte, zielone, liliowe... Bawił się niemi, jak dziecko szkiełkami.

Niezadługo słońce sparło się już na krawędzi ziemi. I wyglądało jak ognista kula, której od dołu zaczęło ubywać... Wnet stało się, jak ognista kopuła... Potem, jak ognisko na widnokręgu... I zaszło.

— Szkoda... — pomyślał Wojtuś, zapominając, jak pragnął wieczora.

Wieczór nadszedł. Zewsząd, jak drozdy na wiosnę, poczęli się odzywać pasterze bydła, śpiewając rozmaitymi głosami tęsknoty i radości swoje. Ożywiły się podleśne pastwiska. Jeno w uboczy było cicho. Tu nikt prócz Wojtusia nie pasł. Woły wszystkie pasły się za wierchem.

Wojtuś zaś jakby głos stracił. Poco — myślał — mam śpiewać, kiedy Kasia i tak nie usłyszy... Z wieczorem wróciła tęsknota ku niej. Patrzał ku wierchowi, czy się nie ukaże, choć wiedział dobrze, że przecie jeszcze nie może gnać o tym czasie. Zazwyczaj woły zganiano już w ciemną noc.

Wojtuś miał przykazane, aby do nocy nie dobywał, ale nie spieszno mu było zabrać się, choć tak wieczora wyglądał. Pasterze z pastwisk pozajmowali bydło, pouciszało się, mroczno już było — a on jeszcze z wołmi na Płoszczanie marudził. W ubocz pozierał co chwila, czy się nie ukaże. Już i droga we wrębie poczęła ginąć w mroku, a on wzrok wpijał aż do bólu... Zdawało mu się

czasem, że się ktoś tam rusza — idzie... pewnie żenie!... Aż serce mu skakało ze wzruszenia. Wpatrzył się mocniej — a to pniak... Tak go zwodziło kiela razy. Wreszcie pomroka zakryła ubocz doznaku.

Rozglądnął się za wołmi. Stały razem, obok siebie, oczekujące, nudzące się, szyję na szyi pokładające. Coż miał robić. Zajął je z ciężkiem sercem i pognał do domu.

II.

Tak zeszedł Wojtusiowi dzień jeden. Takich podobnych dni miał wiele w tym lecie. Nie zawdy jednak słońce i obrazy dalekie zasłaniały mu tęsknotę serca. Miał dni ciężkiej posępności, gdy mgły skryły niebo, dni smutku, dni szarej nudy... Miał też i dni strachu.

W jeden odwieczerz, gdy po południu upalnem słońce zaczęło mżyć, Wojtuś, jako znający się już nieco na oznakach zmian powietrznych, rozglądnął się po stronach, by zmiarkować, skąd co pogodzie zagraża, i obaczył na północy nad samym widnokręgiem ledwo uznany, czarny pas... Ten pas począł się nieznacznie rozszerzać i za chwilę urósł już w dość sporą chmurę. Tem się różniła od inszych, z za widnokręgu wychodzących chmur, iż równą była od wierzchniej krawędzi, jakby ją kto pod linię obstrzygł, i rozciągała się na całą długość północnego nieba. Barwą też nie przypominała widzianych chmur, bo była cała jednolicie

czarna, nawet obrzeża nie różniły się od środka. Jedno powietrzne oddalenie łagodziło tę jej czarność i szarością ją, jako przesłoną lekką, zawłóczyło.

Wojtuś przypatrzył się jej ciekawie i, co jakąś chwilę czem inszem pobawił oczy, znowu ku niej powracał. Niepokoił go jej wyraz. Bo żeby choć łyskało się w niej, abo grzmiało...

Burzę on już niejedną przebył. I trudno chyba o gorszą biedę, jaka mu się przydarzyła przed kilku rokami. Pasł woły na odległej polanie. Na noc miał woły zostawić, a sam do domu przyjść. Skoro je pod wieczór do koszara zawierał, usłyszał w chmurach od zachodu pomruki głuche. Nie zważał na to i poszedł — zdawało mu się, że zejdzie z gór, nim się chmury oddalne przywleką. Ale burza krokami milowymi stąpa. Zastała go jeszcze na wierchach. I przyniosła z sobą taką noc, że ani ziemi pod stopami uznać. Wojtuś też drogę stracił i szedł instynktem przez ubocz. Co sie łysnęło, to parę kroków stąpił. Zresztą szedł po omacku, na domysł. Pierony biły co chwila — ogień się suł przeraźny — raz jedlę roztrzaskało blizko — widziało mu się, że nie ujdzie żyw. Zmówił wszystkie pacierze, jakie umiał — wreszcie zdrętwiał doznaku i szedł na ślepo — bez pamięci. Kielo razy przepadł przez łomy, stoczył się — ani zrachować. Osatał się dopiero, gdy równinę uczuł pod nogami. Burza też mijała. W brza-

sku od smugi jasnej, przetartej na zachodzie, dojrzał znajome podleśne osiedle. Po północy już było, gdy doszedł do domu. Matka nie spała — modliła się, strwożona w sercu o niego.

Więc Wojtuś burzy się nie bał. Jeno niepokoiło go nieznane: co w tej chmurze dziwacznej może się znajdować?

Chmura gradowa — dumał — inakszy ma wygląd. Jest rdzawa, abo ceglasta, i górą sie niesie, wysoko ponad ziemią. Szum od niej już zdaleka słychać. Słota też w taki sposób nie nadchodzi. Bo naprzód lecą oderwane mgły, jako posłańce... A tu nic z tego wszystkiego.

Przybliżała się jak potwór czarny — bez kształtu jak noc... Już zatopiła góry widnokręgu i sunęła wyraźnie w tę stronę... Wojtuś już ani na chwilę nie odrywał od niej oczu. I coraz bardziej się trwożył. Nigdy jeszcze nic podobnego nie widział.

Skoro już zatopiła dolinę Raby i bliższe pagóry, Wojtuś wyraźnie zauważył, że ma kształt czarnej, prostopadłej ściany... równej i przeogromnej, od wschodu do zachodu... I cicho sunie, jak noc.

Strach go obujął. Popatrzał po wsi — i widział, że wszystko, co żywe, równie się strwożyło. Ludzie pracujący zdala od osiedli, bieżeli wartko ku swoim chałupom, pasterze zajmowali bydło z pastwisk i z pośpiechem gnali ulicami... Podobnie

jak przed burzą. Wszyscy widzieli zbliżającą się czarną noc, ale że byli na dole, w kotlinie, nie mogli widzieć tak wyraźnie, jak on.

Pomyślał w strachu, czy nie zająć wołów i nie pognać do chałupy. Ale wnet pomiarkował, że zapóźno. Spotkałoby go na drodze — to już niech raczej tu go spotka, co ma spotkać. Tu chociaż krzaki są... Obejrzał się za schronieniem. Nic przecie nie wiedział, przed czem ma się chronić i jak... Co za tą ścianą, czy deszcz, czy...

— Cożby inszego być mogło? — pocieszał się. Ale strach mu podszeptywał przypuszczenia najgorsze.

Oczyma strwożonemi śledził ruch sunącej ściany — i lęk w sercu jego wstawał... Nie wierzył, żeby tak chmura szła... To idzie coś okropnego...

— Czy może to... koniec świata? — pomyślał z dygotem serca.

A ścianą sunąca noc zatapiała już dziedziny w dole. Na co zaszła — traciło się doszczętnie. Widziało się, że ta ściana miażdży i chłonie, co napotka.

Teraz zbliżała się szybko. Wojtuś z przerażeniem obaczył ją już naprzeciw — blizko... Niby okrutne widmo śmierci. Pomyślał w mgnieniu jednem z jakąś żałością poddaną, czemu nie są razem z Kasią... Czuł, żeby się łatwiej poddał, cobądź przyjdzie... Teraz ogarnął go lęk nad lęki.

Padł na ziemię kolanami i począł mówić pacierz z wiarą przedśmiertną, gorącą...

. . . .

Ocknął się w nocy zimnej — we mgle tak gęstej, że krzaków blizkich nie mógł dojrzeć. Mgła pełna mroźnych igiełek, pędziła szybko z północy

38.

III.

Nareszcie doczekał się Wojtuś dni marzonych, do których przez tyle czasu tęsknotą wybiegał.

Na polanach rozpoczęły się sianokosy.

W dzień Matki Boskiej Zielnej pierwszy raz w tem lecie pozwolił mu ojciec pognać woły za wierch.

Z jakąż radością tajoną zbierał się! Już o świcie wstał, przygotował se nowe kerpce, onucki białe, koszulę cienką, chazukę wyszywaną i kapelusz ze wstążką czerwoną. Dzień się pogodny zapowiadał, to matka nie broniła mu odświętnego wdziania. Wystroił się, jak za drużbę.

Śniadania małoco tknął, ino placka wziął kawałek, gruszek-kiermasznic wsypał do rękawa i pognał spieszno.

Przygwizdując sobie wesoło, gnał ku uboczy drogą, którą Kasia codziennie ganiała. Już to samo, że tą stroną gnał, radowało go nad miarę.

Gdy był z wołmi na wysokości Płoszczany naprzeciw — zaśpiewał ku niej wesoło:

»Hej! Płoscano, Płoscano,
Zieleń-ze sie, zieleń —
Bedzie pasał na tobie
Swoje siutki jeleń...«

I gnał w górę ku wierchowi, a co chwila obzierał się na dół, czy Kasia nie żenie. Świat mu się poniżył w dole. Dość spore góry widziały się mu stąd pagórkami, a pagóry okrągłe — ledwoznacznemi wzniesieniami. Jakby po schodach wstępował ku niebu, tak mu się ziemia w nizinę ścieliła...

Skoro z wołmi przechylił się za wierch, dopieroż radość pełną naszedł! Otworzył się mu jakby inszy kraj — kraj niezmąconej swobody.

Na polanach rozwlekłych, wieńcami buczyny młodej okolonych i rzadkiemi kępkami smreczków jak i jedlic, widniały długie pokosy, gdzieniegdzie już nawet kopy siana, a w częściach nieskoszonych przedziwne łąki trawiaste, ełne kolorów mieniących się: błękitnych, złotych, liljowych... Wszystko to w pełnych blaskach słońca — w krzepkim uśmiechu rannym... Patrzącemu aż serce wyrywało się z piersi, radosne, a nogi same szły w taneczny ruch.

W podskokach biegł za wołmi, gzijącymi się po polanie, wreszcie, porwany przez swobodę, padł na miękki, rozgrzany pokos i tarzał się po trawie... Nie wiedział już, co z radości począć.

Za chwilę wygnał woły na polanę Jasiek

z Brzyzku, starszy od Wojtka o roków pięć. Przywitali się wesoło:

— Nie widziałeś, kto zenie za tobom?

— Nie widziałech.

W krótkości opowiedzieli sobie swoje niebogate sprawy.

— Ka-ś do tela pasł?

— Na Płoscanie. A ty ka?

— Pod Wasielką. Ale i tu ku krajom wychodziłech z wołmi...

— Mnie nie dali.

— Jaby ta słuchał!...

Wojtuś zawstydził się. Chciał uchodzić za parobka, co ma swoją wolę, a tu się sam potknął.— Juz ani razu nie pozenę na Płoscanę — przysięgał se w duchu.

Znowu kilka par wołów wychyliło się z za wierchu. Na polanie uczyniło się gwarno i głośno. Pohukiwania, przyśpiewy leciały w roztokę. Pasterze cieszyli się pogodnym dniem i sobą, że ich tyle zebrało się razem. — Była już gromadka spora, i to w różnych leciech. Prócz Wojtusia i Jaśka, byli tam jeszcze: Józek Cudzin, Łukasz z pod Trześni, Hanka od Zapałów, Kasperek mały Zajęcyn, i wreszcie Jędrek z Doliny, najstarszy pomiędzy nimi. Ten też miał się już za gazdę i kazował se inszym woły nawracać. Choć go ta nikto bardzo nie spieszył się słuchać.

Nareszcie ukazała się i Kasia z wołmi.

Jak się zjawiła na polanie, to widziało się Wojtusiowi, że słonko jeszcze pojaśniało — tyle wesela przyniesła.

Z początku z nieśmiałością niejakąś patrzał w nią — nie widział jej już dawno zblizka — lecz pomału począł go śmiech jej przyośmielać. Widział też, że równie szczerym śmiechem przyjmuje żarty i docinki pasterzy, jak i przychlebne ich słowa.

On też wszystek śmiech jej przerozkoszny brał bez uszczerbku oczami, ku swemu szczęściu obracając go, jako to słońce, i snuł się za nią, gdzie stąpiła. Nic poza nią nie widział.

Skoro sposobność nadarzyła, że pasterze rozeszli się za patykami po kraju, aby ogień upalić na obiad, i Wojtuś został sam z Kasią, wysypał przed nią gruszki z rękawa.

— To la ciebie — rzekł nieśmiało.

— La mnie?

— Bo wy nie macie grusek... a u nas są...

— Toś dziś utrząsł?

— Dziś.

Brała po jednej, jadła i śmiała się w przestankach. Wojtuś był już pół w niebie.

— Ja ci jesce jangrestu przyniesę! — obiecał.

— To macie jangrest?

— Nie. Ale ja wiem o nim. Rośnie w brzegu nad Płoscaną... Ino tam żmije są...

— Nie bois sie to?

— Co sie mam bać!

— Cie! Jaki śmiały! — chichotała.

Wojtuś, całkiem już przyośmielony, postanowił odważnie powiedzieć jej... Ważył w myśli: co — jak... I z drżeniem ledwo spytał:

— Widziałaś mie, jak ech pasł na Płoscanie?

— Ba, dyć nieraz.

— I ja cie tyz widział... codzień.. jak-eś gnała...

Więcej jej nie umiał powiedzieć. Wszystko to już zresztą przeszło i nic z tego niema. Teraz radość w sercu z jej widoku wszystko przykryła. Słowa zbytnie.

Patrzył w jej oczy bijące weselem, w jej usta rozchylone, jako kwiat do słonka, i strasznie dobrze mu było.

— Coz tak patrzys? — śmiała się. — Jesce mie urzeknies...

— To odcynię...

— Byś umiał!

— Naucę sie od ciotki...

Śmiała się, szczerze rozbawiona, a Wojtuś już w niebie widział się cały.

— Ale jakiś ty wystrojony!... Ładnie ci w tym kapelusie. Jak druzba.

— Bedzies mnie na druzbę prosić?

— Bedę. Ino rośnij wartko.

— Coz to — ja mały? — Dźwignął się i stanął przed nią, podwyższając się na palcach.

Józek, który wrócił z kraja, skoczył i obłapił go ramionami za pas.

— Spróbujmy sie!

Poczęli się szermować i wodzić po trawniku. Długo żaden żadnego zmódz nie mógł. Józek był tęższy w sile, bo i starszy, za to Wojtuś znał sposobów więcej. Skorzystał też z momentu, gdy Józek przegiął się nieco w tył, poderwał mu sposobem nogę i obalił go na plecy. Jeszcze leżąc na jego piersi, podniósł głowę i spojrzał z tryumfem na Kasię. Kasia śmiała się głośno, wielce ubawiona.

Przypadli pasterze insi, i poczęły się wodzenia kolejne. A wszystko przed obliczem Kasi. Śmiech jej dzwonił bezustanku. Każdy w sercu swojem dufał, że się z jego przeciwnika śmieje.

Ustali dopiero, skoro się Jędrek z Doliny wmieszał pomiędzy nich. Z nim nikto nie chciał się za pas próbować, bo choć mocniejszy, krzywdę lubiał czynić.

Obiad jedli pospólnie, a potem z wołmi szli krajami, aby się na noc napasły.

I Wojtusiowi mignął dzień jak we śnie.

Odłączywszy swoje woły, gdy na wieczór do dziedziny zeszli, gnał je ku ojcowskiemu osiedlu i rozwijał w pamięci barwne wstęgi dnia. Jeszcze na oczach stały mu obrazy, śnione w słońcu — jeszcze w sercu czuł radosne szczęście — jeszcze w uszach dzwonił mu śmiech Kasi. Ten śmiech przedziwny, pełen barw i dzwonków cudnych...

Pewnym był, że do niego radziej śmiała się, niż do innych. I nie było we śmiechu jej drwienia, jakiego innym nie skąpiła...

Jeden cień ino... Zauważył przelotnie u niej jakieś porozumienie oczami z Jędrkiem z Doliny i uśmiech inszy... Ale to pewnie przezdało mu się tylko.

Z błogością myślał, że jutro, pojutrze będzie znów widział te oczy, wesela pełne, i ten darzący śmiech.

IV.

Pogoda przez resztę sierpnia trwała. Wnet pokoszono pozostałe łąki i suszono wilgne jeszcze siano.

Pasterze mieli uciechę. Na polanach ludno było, jak w czasie zbiórek we wsi. Gzili się z dziewczętami, pomagali im przewracać siano, raczej przeszkadzając niż pomagając w robocie, i nosili się ze śmiechami od kraja do kraja. Wołów pilnować nie trza było — miały ślebodne hale paszy.

Wojtuś naprawdę pomagał ludziom przy suszeniu, z tem większą ochotą, że to nie z przymusu, a z wolnej własnej woli. Grabił siano, przewracał, znosił do kóp, zwijał się, aż mu pot zalewał oczy. Co jedni skończyli suszyć, szedł ku drugim. I tak od rania do nocy. Nieraz, uznojony i umęczony do cna, praskał na ziemię w cieniu — ale za chwilę zrywał się i biegł z podskokami ku grabiącym, jak jeleń od wody. Radzi mu też byli wszyscy, chwalili go za prędkość i za sposobność

w robocie, a on się uśmiechał z dumą i niósł się, jakby w tańcu. Dwoiła się w nim siła na myśl, że robi na oczach Kasi.

Za kilka dni siano wysuszono. Coraz ktoś wyjeżdżał z wozem i brał z kóp wysuszone. Kopy rzedniały, traciły się nieznacznie. I pasterzy mniej było teraz na polanach, jak i wołów — zwożenie odrywało.

Jednego rana wywiózł wóz Jasiek z Brzysku. Mieli i oni tu siano. Roztrząsł kopy z pomocą Wojtusia, by przeschło z nocy. Ojciec Jaśka wyszedł na odwieczerz, i poczęli brać. Pasterze zeszli się ku nim — był między nimi Jędrek z Doliny, była i Kasia, ale pomagać nie było co. Siana prawie było na wóz. Ojciec przygrabował, Jasiek stał na wozie, a Wojtuś mu podawał. W czasie tego prześmiewali się, przegadywali ku sobie. Najwięcej podrwiwał Jędrek z Jaśka.

— Źle kładzies! na jednostronkę...

— Jak ty bedzies gazdą, to mie naucys! — odcinał ~~Jędrek~~ Jasiek.

— Załozę sie, ze ci sie przewróci!

— Poślę po ciebie, co byś dźwigał. Bo sie scycis,ześ mocny.

Pasterze śmiali się — najgłośniej Kasia. Stała nad wozem, na pagórku. Chustka jej spadła na ramiona — włosy roztęczyły się dokoła głowy.

Wojtusiowi, pozierającemu ku niej z poza wozu, cudem się zdała, nie prawdą. Odurzonemu już pa-

chnością siana, głowa się zawracała. Ale trzymał się mocno, tężył siły i z zapałem podawał na wóz Jaśkowi kłęby zbitego siana.

Jasiek odbierał, układał koło leter i deptał nogami.

Skoro już nakładli ponad letry i piętrzyć poczęli pod pawąz, Wojtuś nie mogąc dostać rękami — jako że wóz stał na pagórku, a on z dołu podawał — wziął ostrew (zwyczajnie kół osęczniony, na którym siano suszono) przystawił z dołu do wozu i, po sękach jak po drabinie wychodząc, podawał dalej Jaśkowi.

W pewnej chwili Jędrek, do krzywdzących ino śpasów zdatny, kiedy Wojtuś stał u wierchu, poderwał ostrew z pod niego — i Wojtuś spadł na ziemię. Szczęściem nie na ostrew, bo na jej sękach twardych mógłby się był istnie przebić. Nic mu się złego nie stało, ale się zląkł mocno.

Zerwał się rozzłoszczony i skoczył do Jędrka. Ten, będąc jeszcze w górze, odepchnął go tak mocno, iż Wojtuś padł na wznak i głową jęknął o trawnik. W tym momencie usłyszał śmiech Kasi...

Ból, i wstyd większy od bólu zaćmiły mu rozum. Nie władał sobą. Porwał się z ziemi w strasznym gniewie — jak przez mgłę dojrzał porzuconą rąbanicę, którą ojciec Jaśka pawąz wystroił. Schylił się po nią i rzucił się ku zdrętwiałemu z przestrachu Jędrkowi...

W te razy Jasiek hipnął z wozu i dołapił go za rękę w chwili, gdy już miał się zamachnąć...

Wojtuś naraz osłabł w sobie, usiadł na ziemi i długo jeszcze dygotał w sercu ze wzruszenia.

*

Kasia odtąd przestawała się śmiać, gdy się Wojtuś zbliżał. Próżno wyglądał dawnego jej śmiechu.

*

W jeden wieczór zganiał woły na dół. Gnał sam. Pasterze z polan już pognali. On zabawił się jeszcze przy koszarze.

I gnał z góry uboczą przez wrąb, w widnym jeszcze pobrzasku, padającym od zorzy zachodu.

Z wrębu droga skręcała w przylaski, na zakręcie zarosła trawnikiem.

Darń tłumiła stąpania wołów, i on też cicho szedł za niemi.

Przechodząc koło przylasku, rzucił okiem w głąb i w ździwieniu zatrzymał się. W źrocznym odbrzasku pomiędzy smreczkami dojrzał dwa łyse woły... Przyjrzał się lepiej — istotnie — woły Kasi...

— Przecie już spora chwila, jak pognała. Czyby czekała tu — na niego?

Serce zabiło mu z radosnego przypuszczenia. Cicho podsunął się — odchylił gałęzie smreczków i — cofnął się czemprędzej.

Obaczył Kasię — w uścisku z Jędrkiem z Doliny...

Zbiegł prędko za wołmi, które już niżej zeszły i gnał do domu. Wstyd jakiś bolesny czuł w sercu. Napróżno silił się go pozbyć. Smutno mu było bardzo, ciężko i czegoś żal...

Raz — pamięta — ale to już bardzo dawno — podobnie żal mu było nowiuteńko kapelusza, co mu ojciec kupił, gdy się nieszczęsnym przypadkiem na środku przepalił.

*

Nazajutrz, żenąc woły w górę ku uboczy, skręcił i, choć mu teraz ojciec nie kazował, pognał paść na Płoszczanę.

50.

JAK JÓZUŚ CHCIAŁ, A JAK MU WYSZŁO

Józuś, Miecusiów syn, z pod hal od Dunajca, ukończył szkoły w Krakowie i na wakacyach w chałupie u ojców bawił. Nie wiedział jeszcze, gdzie się na przyszły rok obróci: — czy na doktora pójdzie, czy na księdza, czy też na sędziego. W domu najbardziej by radzi byli, żeby na księdza poszedł. Nie powiedzieli mu dotąd wyraźnie, ale ze wszystkiego miarkował, że tak myślą; matka już drugi tydzień na tę intencyę nowennę odprawiała.

Józuś do żadnego stanu wyraźnego powołania nie czuł, najmniej zaś do duchownego; ale czuł, że się oprzeć nie potrafi, skoro go poczną nakłaniać... Zmęczoną głowę miał po ośmiu latach nauki, i najchętniej by się niczem nie zajmował, jak oto w tym czasie. Całymi dniami wałęsał się bez celu, wysypiał się w sadzie do słonka i chodził między ludźmi osiedla jak śpiący. Tyle, że czasem do kościoła, przez matkę przynukany, poszedł, księdza proboszcza odwiedził — ale i to czynił bez ożywienia, jak w śpiączce.

Matka przepomagała się, by mu jeno w jedzeniu dogodzić; jajeśnicę mu co rano smażyła, za-

76.

cierkę z białej mąki na mleku gotowała, poddawała mu, co mogła; i Józuś wnet stracił bladość przyniesioną z miasta, przybyło go na gębie, wyglądał, jak rydz bukowy.

A że w próżnowaniu i przy dobrem jadle zwykły różne myśli przychodzić do głowy — więc i Józusiowi przyszła myśl: pójść ku szałasom, na hale... Zbaczyły mu się owce, siano, pasterki, śmiejące się takim śmiechem, który aż łaskocze... Tu pracujący ludzie przeszkadzali mu — tam mu już nikt nie przeszkodzi.

Najbliższe szałasy były na hali Chochołowskiej. Tam też Józuś poszedł.

Pasterze i pasterki przyjęli go ochotnie, bo znali go od mała — niejedno lato z nimi pasał. Po paru dniach oswoili się z nim, i Józuś wodził się z pasterzami, jak za dawna.

Znużenie opadło z niego, jak kurz, gdy wiatr zdmuchnie. Nie na marne też wyszły podbiady, dawane przez matkę. Ku pasterkom się z przyśmiechami zwracał — te zaś prześmiewały się z jego nauki.

— Tyle-ś casy w tych skołach był, i coz cie naucyli? Śpiewki-eś pozabacował...

— To se przybacę — starał się mówić w ich sposobie.

— Moze w seminaryi? Tam by ci dali! Msę świętą kazą ci śpiewać...

— Coz to zawadza?

— A to, ze teraz ci juz o świeckich rzecach nie trza myśleć.

— Widzis, zebraku, ani na wesele nie bees mógł iść, ni na druzbę...

— A das mi, Józuś, ślub, jak księdzem ostanies?

— Dam ci, z jaką paradą! ino pockaj.

— A kie-z to bedzie? Za rok, dwa? Bo mi sie śpiesy.

— Coz ci tak pilno?

— Gadaj mu ta o tem, kie on juz jak ksiądz. — Jakze ty zebraku wytrzimies? Tak całe zycie bez grzychu...

— Haj? od cegoz gospodyni? — pytała insza.

— Kie Józuś ta nie taki... On juz dziś jakby wyświęcony. Ino mu kółko na łbie wystrzydz...

— Wiera tyz bedzie ksiądz z ciebie! Ino tu prymicye zrób, pamiętaj, coby my sie wytańcyli...

Józuś wstydził się tego przyszłego księdzostwa. Chciał im koniecznie pokazać, że on nie taki święty, jak myślą.

Najuparciej prześmiewała się z niego Kundzina Jewka od Królów. W zamian za te jej prześmiechy począł ją śmiało słowami napastować. Nie gniewała się o to bynajmniej; to też Józuś ośmielił się tak, że gdy jednego popołudnia przyostali na chwilę sami na polanie, zagadnął prosto:

— Kaz ty legas?

Wiedział dobrze, że nocowuje przy kopach na sianie.

— E? — przedrzeźniła — coześ taki ciekawy?

— Bo bych przysed ku tobie.

— To przydź — kto ci broni?

Józuś uszom swym nie chciał dowierzać.

— Naprawdę byś mnie przyjęna?

— Jakze? Dy nie na śpas..

I zaniesła się śmiechem, który Józusia więcej niż słowa przekonał. Jak to dziwnie łatwo! — pomyślał sobie w radosnem ździwieniu — że ja też, głupi, nie wiedział...

Przez cały ten odwieczerz miejsca se nie mógł naleść z niecierpliwości krwi, myślą pokuśną rozgrzanej. To do koleby zabiegał, to z pasterzami po hali się wodził, to za owcami uganiał —a wszędy za nim szedł śmiech Jewki, raje obiecujący. Na samą myśl tych rajów aż Józuś omglewał w ciele.

Nigdy dotąd podobnego uczucia nie doznawał. Choć miewał już różne. Kochał się w błękitnych pannach, spotykanych na nabożeństwach majowych, potem w kulawej córce pani, u której dwa roki mieszkał: były to miłości straszne — do »aniołów«; myślą bał się ich sukień dotykać. Później czystość swoją tracił w ofierze Lilith nieznanej, nago już w marzeniach śmielszych widywanej, aże stracił ją zupełnie w jakiejś ohydnej miejskiej norze, gdzie go po maturze pijanego koledzy zawlekli. Prześladowało go to przypomnienie, jako sen przykry, niewyraźny. A oto teraz, tej nocy, ma się stać rzeczywiście, o czem śmiał śnić jeno...

I to naprawdę! bez żadnych ocyganień! Józuś! czy ty nie zwaryjujesz pierwej! — mówił sobie.

Miał wciąż na oczach Jewkę: jej postać krzepką, o twarzy ciemnej, przez którą ogień krwi przeświecał, z iskrami oczu, z rzędami białych ząbków; o włosach czarnych, splecionych w długie warkocze, i piersiach, wyraźnie wzdymających katankę we dwa wzgórki... Aż oczy mgliły mu się na myśl o tych wzgórkach — odsłonionych.

Wyobraźnia rozpalona nawodziła mu na zmysły obrazy noclegu, jaki chyba bogowie pogańscy mieć mogą. Z Jewką — przy kopie — na sianie!... Wszystko wobec tego wydawało mu się nudnem, nie wartem jednej uwagi. Całe życie jego dotąd nie miało — widział — sensu. Po to się trudził lat tyle, po to się uczył łaciny i greki, by oto zrozumiał wreszcie, iż jedno jest dobro, jedna mądrość: ujrzeć się z Jewką na sianie.

Nadszedł wieczór. Józuś i wieczerzy jeść nie mógł — telo szczęściem czuł się napasiony. A wieczerzali pospólnie w kolebie. Za Jewką jeno oczami wodził, chwytał jej uśmiech każdoraźny, jej spojrzenia — chciał się już upewnić w sercu, bowiem, im bliżej czuł się obiecanych rajów, trwoga go napastowała.

Wnet po wieczerzy poczęli się pasterze rozchodzić na spanie — każde do swoich kóp.

Józuś ze drżeniem zbliżył się ku Jewce.

— Jakze bedzie?

— Z cem?

— Ze spaniem... Cy mam przyjść ku tobie?

— Jak fces — zaśmiała się. I, zaodziawszy chustkę, poszła na halę wyźnią, gdzie nocowywała.

Józuś został w kolebie ze starym Szymkiem, z którym tu legiwał. Skoro po jakimś czasie Szymek zabierał się do spania i klęknął do pacierzy, Józuś skierował kroki w pole.

— Pójdę wyjrzeć na miesiączek, czy wyszedł — rzekł w progu. Czuł tym razem potrzebę wytłómaczenia, dlaczego wychodzi. Szymek nie odrzekł nic, mówił pacierz.

Halą wyźnią nazywano skrawek równy w końcu hali, wyżej położony. Stamtąd widok był otwarty na wschód i na zachód. Tam Józuś skierował kroki. Idąc, dygotał całem ciałem, choć wieczór był ciepły — wzruszenie, nieznane dotąd, trzęsło nim, jak złodziej gruszą.

Skoro na halę wyszedł, rozejrzał się z uwagą, by nie zmylić. Księżyc wychodzący ledwo rozwidniał polanę. Na środku stało kilka kóp. Poboku jednej dojrzał posłanie i chustę ciemną. Zbliżył się z dygotem serca.

— To ty Jewciu? — szepnął, stając nad posłaniem.

— Ja. Coz fces?

— Przysedech ku tobie.

— To ląz.

Józuś czuł się, jakby go do nieba wpuścili. Rozpatrzył się po posłaniu i legł skraja, obok Jewki. Chwilę spoczywał cicho. Zbierał w sercu odwagę, oswajał się z rzeczywistością. A bokiem z ciekawością pozierał na Jewkę. Leżała na wznak, chustką owinięta, twarzą ku niebu.

W pobrzasku miesiąca widział jej przyciemniałą twarz, oczy otwarte, wpatrzone w gwiazdy, błyszczące. Wydała mu się jakąś inszą, poważną, prawie że surową. Onieśmielenie poczęło ogarniać Józusia, gdy patrzał w nią, tak w niebo wmyśloną.

— Gwiozda spadła... — szepnęła.

Józuś spojrzał na niebo za jej wzrokiem, i znów ku niej powrócił oczyma. Nieznacznie przysunął się. Dygotał jak w febrze.

— Cy ci zimno? — spytała.

— Nie...

— Tak sie trzęsies. Moze ci dać trok chustki?

Odwinęła chustkę. Józuś podjął trok i skwapliwie się przysunął.

— Cieplej ci?

— Cieplej.

— To śpij. Abo patrz na gwiozdy. Widzis, co ich hań.. Jak iskry rozsiane. Więkse, i mniejse, i mało co widne... O — jak sie mienią... Z cego one tyz bedą? Nie wies? co? Jak was tam w skole ucyli?

— To są światy, takie, jak nasa ziemia...

— Głupi... światy... mniejse od śpilki.

— Bo daleko, to sie widzą małe.

— Dzieciom gadaj se takie bzdury, nie mnie. Jednak ciekawe słowa Józusia nie dawały jej spokoju; myślała o nich, zapatrzona w gwiazdy... Józuś zaś nie miał ochoty wykładać jej astronomii. Chciał, by teraz o jego szkołach zapomniała, by brała go jak pasterza.

— To ucą, ze tak daleko... — rzekła po chwili.

— Co ci ta o to... Śpijmy lepiej.

Przysunął się ku niej poufale.

— To śpij. Cy ja ci bronię? — odsunęła się — Mas doś miejsca.

— Kie ja chcę z tobą...

— Dyć ze mną śpis.

— Ale...

— Co za ale? Jak ci nie dobrze, to idź.

Patrzyła dalej ku niebu, a Józuś, onieśmielony, pozierał na nią i czekał. Oczy jej pomału zaczęły się zwężać — sen ją nachodził.

— Jewka...

— Co?

— Jewciu...

— Dyć słysę.

— Jewusiu...

— Coz ta jesce? Śpij, bo juz cas.

Józuś nabrał w serce odwagi, wyciągnął rękę pod chustą i sparł dłoń na jej piersiach. Nie broniła mu. spytała ino:

— Musis tu rękę kłaść? nie uśnies inacy?

A Józuś, czując pod palcami wzgórki ciepłe, wznoszące się oddechem, rady sobie już nie mógł dać. Począł dłoń rozpaloną w zamroku pożądania przesuwać po jej młodem ciele. Ujęła mocno tę dłoń jego i odepchnęła.

— Lez spokojnie — rzekła ostro.

Ale Józuś już na nic nie dbał. Płomieniał cały pragnieniem. I śmiałości strasznej nabrał: Przecie go sama wołała... Cisnął się rozpalonem ciałem ku niej. Objął ją mocno rękami i począł szeptać słowa urywane: prośby, tkliwości, zaklęcia...

Krótko to trwało. Ani pół pacierza. Porwała się, odwinęła się z rąk jego niby z trawy leśnej i odrzuciła go na siano, jak smętla słabego.

— Coz tobie sie bazy, moi ludzie? To cie tego tam ucyli?! A spytałeś sie mie choć, cy cie kocham?

Poczem złagodziła nieco:

— Jakbych cie kochała, to co insego. Ale co ty wies o tem.

Józuś ledwo się osatał ze źdźiwienia przykrego i z upokorzenia.

— To po co-ześ mie wołała na siano? — rzekł w gniewie.

— Na sianie kazdy spać moze. Miejsca doś. I nikt nie broni... Ale widać juz, ześ miasto przesed... No ląz-ze, ląz — dodała pobłażliwie — nie smuć sie...

Ale Józuś ani myślał ostać. Porwał się w zło-

ści z posłania, poszedł po polanie aż na drugi koniec hali, tam długo siedział na pniaku i różne myśli przeżywał.

Skoro Józuś, późnym już czasem wchodząc do koleby, skrzypnął drzwiami, Szymek stary podniósł kosmatą głowę z posłania i, rozespany, spytał:

— Jakoz ta ten miesiącek... wysed?

POŁUDNIE

~~86.~~

Jasiek z Zarębków wygnał woły na wierch Ceski, na polanę rozkoszną, schyloną jedną połacią do słońca, ku południowi. Stało mu się w sercu wesoło, jak zawdy, gdy tu wyganiał. Śródpołuń był. Słonko wytoczyło się z poza Jaworzyny i stało prawie nad czołem Turbacza, ciskając światło w roztoki, które się aż zapoczęły mglić od tej białości.

Powiódł radosnemi oczyma dookoła po słonecznych wierchach, po zamglonem na zachodzie widmie Babiej Góry, i oparł się aż na północy o lackie niziny, które poprzez sreżogę, zbłękitniałe, wydawały się rąbkiem dalekiego morza. A coś w nich, niby igły wież złocistych, lśniło. Starzy powiadali mu, że tam Kraków.

Dumą radosną porwany, zawiódł głośno:

»Hej!... jak ja se zaśpiewam
Na środku polany —
Ej — to mi odegrają
W Krakowie organy...«

Poleciało ku wierchom — zadźwięczało po bukowym lesie — rozjękło, rozniesło się po dalszych

uboczach — i Jaśkowi zdało się, że słyszy echa dobyte z niewidzianych dalekich organów. Zaśmiał się szczęśliwym śmiechem.

Zajął woły i popędził je ku południowi w cień kraju, aby się pasły. Sam zaś legł w słońcu na polanie i, sparty na łokciu, wygwizdywać sobie począł a kerpcem wytupywać jakąś melodyę. Po twarzy chodził mu uśmiech, niby kółka słoneczne, spadłe z gęstwy liści, a w oczach migotały ogniki lekkomyślne, zdrajce swawoli. Bo też jeno swawolne myśli mogły się plątać po tej pysznej głowie, nijaką troską nie ściężałej.

Właśnie przyszło mu na pamięć, jak to tu na tej polanie w dzień Matki Boskiej Zielnej prasnął Józkiem, co go zwią Harnym, o ziemię — w oczach Haźbiety, pasającej teraz owce w przeciwległej uboczy, na Suhorze. I jak Haźbieta śmiała się i potem już ani pojrzeć na Józka nie chciała.

Skąd mu sie wtedy telo tej siły nabrało? Przecie to chłop: jak i Józek. Od kiela roków wolaruje. A tak sie pysznił swoją siłą — widziało się, że niema nadeń harniejszego. I ukrócił go.

Przywodził na oczy całą tę walkę po szczególe: Jak się wzięli próbować za pasy, zrazu niby żartem, a potem i naprawdę. Haźbieta stała opodal i śmiała się. To mu dodało sił. Jak nie zawinie — jak nie siepnie nim — aż ziemia jękła. Spojrzał tryumfująco na Haźbietę — ta się dalej śmiała, jeszcze serdeczniej.

»Hej — pociesenie moje
Kany sie obraca?
Popod Obidowiec
Owiecki nawraca...«

Zaśpiewał sobie wysokim półgłosem. I, przechylając głowę w tęsknem zamarzeniu, popatrzył w stronę Obidowca — ku Suhorze. Patrzał długo, aż mu mgłą zaszła ubocz — a miał ją w oczach, jak żywą, śmiejącą się, jak wtedy. Nagle zerwał się z ziemi.

— Cy je tyz jest? Cy tyz juz wygnała?...

Podszedł parę kroków wyżej i wpatrzył się bystro ku Suhorze. Lecz las zasłonił polanę — nie widać owiec, ani nic. Jakby się tu dowiedzieć... Stanął se mocno, sparł się pod bok, odkrzypnął i zawiódł głośno:

— Ou-ho-ho-ho-ho... ho-ho-ho-hu!

Zagrało potężnie — poniesło się ku przeciwległej uboczy.

Jasiek nadstawił ucha — nadsłuchował.

Niezadługo przywiało cienki głos z Suhory:

— U-hu-hu hu!

Jest. Poznał jej głos odrazu. Uśmiechnął się, jakby ją na oczy ujrzał. I z tej radości zawiódł:

— Hej!... jak ja se zaśpiewam,
Jak ja se zawiedę —
Usłysy mie dziewcę,
Choć najdali będę...

Mało mu się widziało — dodał:

— Hej!... jak ja se zaśpiewam —
Puscę głos po lesie —
Pozna mie dziewcyna,
Wiater ij doniesie...

Długo grało po lasach, po uboczach — a skoro zcichło doznaku, przyleciało z Suhory:

— Hej!... wtedy ja cie wtedy
Chłopaku poznała,
Kiedyś bucki ścinał,
Ja owiecki gnała...

Jaśkiem aż zatrzęsło — jakby to wiatr dunął, nie melodya tęskliwa.

— Dyć tak było. Jak sie to zda i śpiewka..

I na oczach stanęły mu te liście bukowe, na których se ją przyniewolił, i te owce białe, które ich obstąpiły jako świadki...

Dużo miłośniej i jakby głosem nie swoim zaśpiewał:

— Hej!... powiedz-ze mi powiedz,
Moja kochanecko,
Z za wtorego wierchu
Wychodzi słonecko?

Jeszcze nie zgasły echa dźwięczne, gdy od Suhory przywiało:

— E jakze ja ci powiem,
Kie ja nie widziała —
Słonecko wschodziło,
To ja jesce spała...

Stcjąc oparty na ciupadze, ustami rozchylonemi słowa miłe chwytał, i uczuł, jakoby ta melodya przyniesła mu zapach siana, na którym spała.

Nie miał już woli śpiewać. Obejrzał się za wołmi. Pasły się w kraju, w cieniu buczków, okalających polanę.

Legł na ziemi do słońca i począł sobie znowu zcicha przygwizdować -- ale mu nie szło. Owładnęło nim zleniwienie, zwyczajne o tym czasie. Zauważył, gdy oczyma zmęczonemi dookoła włóczył, że i woły powolniej trawę skubią — jak od niechcenia.

Słońce przetoczyło się z nad Turbacza ku Obidowcowi i stało prawie na południu. Nie grzało już, ale piekło jak płomień ogniska. Gorąco coraz większe się czyniło — skwar się w powietrzu wzmagał. Nawet liście buczyny poskręcały się od żaru i dygotały.

Jasiek leżał na trawie, jak na rozpalonej nalepie. Pomyślał, że dobrzeby było zniżyć się do cienia, ale ruszyć mu się nie chciało. Kapelusz jeno nasunął na czoło, oczy przymknął i trwał jak w drzemce. Ale światło przedzierało się przez powieki i parzyło go w sam mózg. Bawił się zrazu tem światłem, bo rozmaite mu się przedstawiało: raz białe, raz żółte, raz czerwone... Myślał przytem:

— Taką cyrwoną spodnicę ma Haźbieta. Jak z poza bucków mignie, to jakby cary jakie. Co tyz to w tem...

I teraz na samą myśl czyniło mu się słabo koło serca — jak pod urokiem. Włada go odchodziła. W gardle uczuł suchość dziwną — pragnienie nagłe, uprzykrzone — aż oddech tamowało. Dźwignął się na siedządzko — popatrzył na świat — a świat mu się jakimś dziwnym wydał, jakby go coś przeinaczyło. Czary istotne... Każda rzecz ta sama, a nie ta. Liście jakieś zieleńsze — trawy złocone — i światła, światła potoki — lić jasna...

Przetarł oczy. Woły leżą — żwiękują. Czy to naprawdę te woły?

Zdala dobiegło żałosne wołanie kani:: »piić«!

Dumał wstać — iść ku wodzie — ale źródło daleko, na północnej stronie. Zbaczyło mu się, że w Potoku Skalistym jest agrest; późno dojrzewa — może już i dojrzał. Ale i tam nie blizko. Pragnienie by go odpadło, nimby doszedł.

Wyciągnął się z powrotem — gdy pragnienie przywiodło mu na smak maliny. Są we wrębie, w uboczy. Począł je w myśli rwać i smakować. Przypomniało mu się zaraz, jak to mu kiedyś Haźbieta przyniesła w podołku malin. Słodkie były... Począł wspominać to i insze — i obraz jej, jako żywy przedstawił mu się w oczach. Leżąc na mchu wysokim, w słonecznej spiece, kusi go śmiechem, oczami i całą sobą rozkoszną...

Porwał się z ziemi — skoczył do kraja — zajął woły i miał je gnać ku Suhorze... ale pognał je na stronę północną — ku wodzie.

Napoił woły w studzience i sam się napił. Potem siadł koło studzienki, a woły się po młace pasły.

W cieniu nabrał rzeźkości — siły mu wróciły — dumał zatem, coby tu wymanić, bo mu się cnąć poczynało. Ścinałby buka, ale nie wziął ze sobą rąbanicy — ciupagą nic nie poradzi.

Wstał — rozprostował ręce, aż zachrzęściały w stawach — spróbował-by się z kim... Ale tu po tej stronie, widać, nikt nie pasie. Huknął w dół ku roztoce — nikt nie odpowiedział.

I znowu idąc z wołmi pomału pasęcy, wyszedł na wierch Ceski.

Słońce posunęło się nad Suhorę — śródwieczerz się zbliżał.

Jasiek odrazu oczy tęskne ku Suhorze zwrócił, ale słońce nic nie dało widzieć. Zaledwie poprzez gęstwię wpływającego ku roztoce światła las smrekowy majaczył.

Naraz stamtąd przyleciał znany dobrze głos, jak wiater gorący z południa:

— Hej! przyjedź, Jasiu, przyjedź,
Abo przypłyń wodą —
E bo moje serdusko
Saleje za tobą.

Jasiek też wartko odpowiedział:

— Hej! podej-ze mi rąckę
Na zieloną łąckę —

E podej-ze mi obie,
Pomówimy sobie...

I zaśmiał się w sercu. Niezadługo przywiało od Suhory, ale dużo smętniej:

— Hej!... próżno ciebie, Jasiu,
Moje ocka płacą —
Jak przydę ku tobie,
Owce sie potracą.

A on, jakby już dawno nosił w myśli radę, odśpiewał z potuchą mocną:

— Hej!... zezyń owce na dół,
Ja wołki zezynę —
Zejdziemy na drózkę
Popod jaworzynę...

Gdy echa pocichły, nadsłuchował pilnie. Za chwilę dopiero ozwało się, jak granie najmilsze:

— Hej!... dyć to już śródwiecerz,
Minęło południe —
Kochaj mie, Jasieńku,
Ale nie obłudnie...

Roześmiał się serdecznie, jakby ją miał przed sobą — z miłością w oczach i z tem zastrzeżeniem. I głosem, w którym uśmiech drgał jeszcze, odśpiewał:

— E nie bój-ze sie, nie bój,
Dyć ja przecie nie zbój —
Nie zbój, nie zbójnicek,
Ino pacholicek.

Stał cicho i słuchał, czy mu jeszcze słów jakich nie przyśle. Za chwilę odzew jeno przypadł —

krótkie: »U-hu-hu-hu«! Zmiarkował po głosie, że mu je już z uboczy przesłała. »Zgania owce« — powiedział sobie radośnie. Czemprędzej zajął woły i gnał je w roztokę — naprzeciw. Z lasu już posłał odzew.

Przedarł się z wołmi przez buczynę i gnał rzadkim lasem. Gałęzie jeno pod nogami trzeszczały, i odzywało się niekiedy w głowicach drzew gruchanie gołębi.

Przechylił się na drugą stronę zbocza i posłał odzew Haźbiecie. Naraz, jakby w odpowiedzi, dobiegł jego uszu śpiew żałośliwy, cienki — od strony innej — ze Spalonego:

— Ej, nie wierz chłopcu, nie wierz,
Choćby w ogniu lezał...

Dalsze słowa straciły się w żałości. Poznał odrazu głos Tekli, którą łońskiego roku na Spalonem, pasąc z nią woły, przyniewolił sobie, a potem jej odniepadł dla Haźbiety.

Widząc, że go poznała z daleka po głosie, i że jemu tak śpiewa — odrzucił z pyszna swawolnie:

— Hej, dawniej tom cie widział
Bez dziesiątą ścianę —
Dzisiaj cie nie widzę,
Choć przy tobie stanę.

Na to przywiało ze Spalonego:

— Ej, pamiętaj se, Jasiu,
Stanies na sąd boski —

Bedzie on ci, bedzie,
Mój wianecek gorzki...

Już nie odpowiedział. Natomiast wartko zawrócił woły i przesłonił się od tej strony zachyleniem leśnem. Gnał jakiś czas w milczeniu — o skoro widział, że się już dość od Spalonego oddalił — począł sobie przygwizdywać dla śmiałości serca i potuchy. Już też zbliżał się ku roztoce... Tu doleciał go — już z niedaleka — szukający go głos Haźbiety:

— Moje pociesenie
Na ktory jest stronie?
Cy na ty, co i ja,
Cy sie ze mną mija?...

. . . .

. . . .

Słonko już dobrze schowało się za wierch Tobołowa, i mrok zakradał się w roztoki, gdy w uboczy pod Suhorą zadźwięczało przy smętnem turlikaniu owiec:

— Hej!.. juz sie zachmurało,
Kany świtać miało —
Juz moje kochanie
Z wiatrem poleciało...

A od Spalonego poniesło się żałośliwe śpiewanie ku Cesce:

— Hej!... bodajby cie było
Na świecie nie było —
Nie widziałabych cie,
Nie zal-by mi było...

A Jasiek ze Zarębków gnał napasione woły ku kolebie i przygwizdywał sobie — po twarzy przebiegał mu uśmiech lekkomyślny, a w oczach migotały ogniki swawolne

Jaś z nad brzegu.

106.

Pisał się górnie „Jan Wierchowy“, mówiono o nim „Jaś z nad brzegu“, a wołano na niego zwyczajnie „Jaś“, choć mu już szło ku trzydziestce, bo był wszystkim oczom miły.

Już też nie było nadeń we wsi parobka honorniejszego. — Kiedy w niedzielę słoneczną, odziany w białe cyfrowane portki, w biały, nowiutki serdaczek, w chazukę czarną, pięknie stamentem z brzegów wyszywaną, w kerpcach misternie szytych, bryzowanych, w koszuli jak śnieg białej, w kapeluszu z białemi kostkami, honornie na bok pochylonym, szedł kamieńcem na sumę do kościoła, widno się aże czyniło od niego.

Dodawała jeszcze uroku postaci twarz biała, światła, gładko ogolona, mile do ludzi wszystkich uśmiechnięta.

Serce miał dobre, uczynne; był walny, jak mówiono. Do każdego, bogaty czy biedny, przyjaźnie się odnosił, każdemu umiał coś miłego powiedzieć.

Pytano go chętnie czasu wesel na drużbę, bo umiał jak nikt prosić, nikt się jego słowom i przyśmiechom nie zdołał oprzeć.

Miał brata żonatego, który dzierżył pół gruntu. Druga połówka przypadała jemu. Ale więcej krawiectwem niż gazdowstwem się trudnił; robił chazuki, portki, a cyfrował je tak pięknie, że daleko na okolicę miał z tego słynę.

Nie żenił się, choć wszystkie oczy dziewcząt — siwe, czarne — śmiały się do niego. Chodził od lat ślebodnie wszystkimi chodnikami, jakie mu zachcenie lub fantazja wskazały — parobkował.

Znał całą wieś i wszyscy go znali.

Przy każdem święcie, jarmarku pełno Jasia było wszędy, na rynku, w karczmie.

Wciągał do szynku, kto mu pod rękę podpadł, częstował wokół, poił.

— Moi mili, kochani...

Wielu ludzi było w karczmie, szanował wszystkich. — Kiedy ścisk się w izbach robił, jak w kościele, że do szynkwasu trudno się było przepchać, wstrzymani w progu mówili z uśmiechem pochlebnym do nadchodzących:

— Jaś pije...

Jaś pił i płacił za wszystkich. Miał przyjaciół wszędy, gdzie się pokazał. „Jaś, Jasia, o Jasiu“ — dzwoniło naokół po wsi, schlebiało jego sercu.

Tak lata szły, mijały. Jaś cieszył się przyjaźnią ludzi — ludzie częstunkami Jasia. I wszystkim było dobrze. Ale nie bardzo.

Grunt topniał, zastawiany po kawałku, to odsprzedawany bratu, który korzystał chytrze z różnych chwil miętkości Jasia i odkupywał kawałki za bezcen.

Jaś zauważył pochyłość, po której zsuwał się nieznacznie a stale, lecz nie mógł się już wstrzymać.

Gdy gruntu nie stało, jął przepijać las.

Nadszedł dzień wreszcie, że brakło Jasiowi pieniędzy i kredytu. Zaczął się tedy obzierać na ludzi — ale ci jakby się nie dorozumiewali, o co chodzi.

Zauważył ze zdziwieniem, że go inaczej teraz zaczęto traktować. Nie wołano go, jak zwykle, gdy się w progu karczmy jawił, nie proszono go ku sobie, nie częstowano. Nikto się nim nie interesował. — Jakby się nagle w obcej wsi zobaczył. — Gdy zbliżył się nieproszony ku jakiej kompanji, siedzącej za stołem, nasłuchał się tylu docinków kłujących, że odchodził ze wstydem i bólem.

Jęła się w sercu jego dźwigać złość, której dotąd nie miał. Przemagał się jednak. Chciał z ludźmi witać się, jak dawniej, ale go często nie zauważano lub odpowiadano skinieniami ledwo, jak z łaski.

— Ho, ho, cóż to jest?

Jaś przyjrzał się ludziom lepiej i jakby omamienie z oczu jego spadło. Gniew go obujął. Zaczął prawdę mówić w oczy, ktobądź był, nie przebierając. I tykał wszystkich żajedno.

— Ty myślisz, brzuchaczu — mówił do wójta — że nie wiem, za czyje pieniądze balujesz? Dobrze ogoliłeś gminę przy kupnie lasu.

— Ten zelator — znów o przysiężnym naocznie — co sie naraz z dwóch książek modliwa, tak myśli okpić Boga, jak bratańca, co mu grunt zajął.

I tym podobnie. Wytykał wbrew, co go jeszcze więcej od ludzi dzieliło.

Roboty miał coraz mniej, bo trafiło się, że zadatek przepił, a nie zrobił. — Kto chciał mieć przezeń zrobione odzienie, brał go na czas roboty do domu. — Otrzymawszy zapłatę, pił, dopóki starczyło.

Teraz pił już ze zgryzu. Pił sam. Nieraz przez tydzień nie opuszczał karczmy.

Gdy tak samotny w rogu szynkownego stołu z głową opartą na dłoni w posępie osieroctwa siedział, imały się go marzenia, których dawniej w umyśle nie miewał.

— Cóż mi to ta wieś? — mówił głośno. — Nudy! Człowieka nie uświadczy. Jakieś sietniaki pokraczne, a byli tu drzewiej ludzie — ho, ho — tym sie ani przymierzać! Stanął se taki w uboczy, gwizdnął — kierdele owiec za nim, jak płatki śniegu. Sypią się, sypią, bieluśkie. Z wierchu na wierch, jak sięgnął, siekierkę drugiemu podał. A jak szli gromadą, w kupie, to jakby szedł las. Wesele jak jechało, to powietrze sie trzęsło. Byli ludzie! Hej,

hej, ka się to wszystko... Może i są jeszcze kany — bo czy to tu świat?.. Świat jest tam — poza morzami — na cypryjowym brzegu...

— Co, Jasiu, pleciesz — ktoś powiada. — Jaki cypryjowy brzeg?

— Co ty wiesz o świecie? — obruszył się Jaś. — Coś ty widział? Płot ze swojego okna. Tuś sie ulęgnął, tu umrzesz i tu cię pochowają. A świat sobie tam rośnie — wielominy kwitną...

— Jakie znowu wielominy?

— Drzewa, mój bracie. Takie drzewa, co same śpiewają.

Uśmiechał się ów wzgardliwie i odchodził za swojemi sprawy, ostawiając Jasia marzącego.

Ktoś, co z Ameryki wrócił, przyniósł taką skrzynkę, że gdy się do niej przez szybki wprawione patrzało i pokręcało z boku umieszczoną korbką, można było różne miasta i kraje uwidzieć.

Nasz Jaś potela zabiegał, pokiel tej cudoskrzynki na własność nie zdobył. Tedy, siedząc w karczmie, patrzył w nią przez szkła godzinami, zwiedzał dalekie kraje, wojażował.

— Cóż tam, Jasiu, widzisz? — pytano kpiąco.

— Przypatrz sie. Wieża... Cudo dziwne. Stoi, a leci.

— Edyć.

— Miasto na morzu... — objaśniał znów.

— Hale — na morzu... To ino łudzisprzęty takie.

— Ostaw! — odbierał skrzynkę. — Nie każdy godzien świat widzieć.

I wojażował sam. Z czasem znał tak miasta i kraje, które oczami i wyobraźnią zwiedzał, iż opowiadał o nich, jakby tam był. Wkońcu sam wierzył, że tam był w istocie.

— W New-Jorku takie domy, jakby wieżę na wieży postawił. Na piętra kolejkami wyjeżdżają. Widok na mile dokoła. Ja mieszkał na ostatnim piętrze. Jak-ech pojrzał z góry, to sie widziało, że mie zemgli. Ludzie na dole mniejsi od pcheł.

— Abo w Madrycie... co za miasto! Gmachy, pałace, traktyjernie... Wszędy ścisk, pełno...

— Czemuż tu siedzisz, kiedy tam tak?

— Ja tu ino do czasu, pokiel co nie zaświta. Pojadę. Świat znam. Co mie tu trzymać może? Tu nijakiej przyjemności...

— Ożeniłbyś sie, Jasiu — żartował ktoś uszczypliwie, bo żadna by już zań, podupadłego, nie wyszła.

Na to Jaś obruszony:

— Co mi po tych tu dziewkach, co to ani składu, ani światłości nijakiej. Nie takie ja miał! — poszedł za marzeniem. — Raz we Widniu, kiedych przechodził przez ulicę — a widno mie było, bo-ch sie niósł wysoko — patrzę: przejeżdża powóz — bielutkie konie, jak mleko — stangret, panie święty,

w luberyi — w powozie siedzi hrabina. Już mnie ujrzała. Kiwła na mnie palcem, kazała stanąć i wzięna mię do powozu. Pojechali my do niej do pałacu. Tam mie gościła — wszystko było, co ino dusza zapragła. I mógłbych był zostać przy niej, bo mie puścić od siebie nie chciała, ale mi sie sprzykrzyło — na trzeci dzień-em uciekł. Szukała mnie, goniła — nadaremnie. Już-ech do niej nie wrócił.

— Abo znowu... kiedych stawał na warcie przed Burgiem, to sama cysarzowa — pojmujesz to? — do mnie przez okno kukała. Co pojrzę do okna w górę, to — widzę — firanki się ruszają. Tam stała. A nieraz było, jak na spacer szła i przechodziła koło warty, to mi guldena do ręki wstusiła — tak pochychnie, coby Stary nie widział. Tak, mój ty — różnie było. I jaby ci tu za dziewkami patrzał...

Co Jasia trzymało jeszcze, prócz marzenia, gdy go wszystko inne odeszło — to wiara.

Raz o ćmie czarnej zdążał przez rynek do szynku. A był już przynapity. — Ani pół kroku przed stopą nie widno. — Doplątał się ścian i, macając dłonią, tak się z mozołem posuwał. Nareszcie dobił do drzwi, pchnął — buchnęło światło na niego. Zdjął kapelusz, podniósł ręce do góry:

— Dej Boże, cobych tak do nieba trafił.

A raz znów zabrał się z karczmy — już było po północy — o swej godzinie do domu. A że noc była ciemna i rzeka po deszczu wezbrała — zaś dom jego stał nad brzegiem za wodą — karczmarka dała mu latarkę. Przyszedł nad wodę ku ławie — woda już ławę opływała. Nie cofnął się jednak — wszedł i, dzierżąc latarkę w ręku, posuwał się po oślizgłej belce. Aliści, gdy doszedł do połowy, skiełznął — wpadł do wody i płynie... Jednak, tonąc, podnosi rękę z latarką do góry i woła:

— Matko Boska! Tu mnie masz!

Świeci, aby widziała, gdzie go ma ratować. Matka Boska go też zratowała: — ocalał.

Były misje w parafji. Jaś trzymał się na boku, bo wiedział, że do ślubowania od wódki nakłaniać będą, a toby mu z trudnością przyszło. — Jednego dnia kupił sobie w karczmie graniatówkę okowity i szedł koło kościoła do domu.

Właśnie na cmentarzu przykościelnym miał misjonarz kazanie o pijaństwie. — Jaś z ciekawości podszedł i stanął koło furtki, flaszkę w kieszeni dłonią przytrzymując.

Ksiądz woła z ambony, zwrócony ku niemu:

— Nie dość ci, że się w szynku upijesz, jeszcze do domu niesiesz...

Jaś się spłomienił i strwożył.

— Dy on wierutnie wie.

Poszedł poza plecyma ludzi i stanął se opodal za drzewem.

Aliści słyszy, jak ksiądz, w tę stronę zwrócony, powiada:

— Kiedy Adam zgrzeszył, to się skrył za drzewo...

Jaś się przeląkł w sercu.

— To on mnie i tu widzi.

Wycofał się poza mur cmentarny, wyjął z kieszeni graniatówkę i roztrzaskał ją na kamieniach. Poszedł w skrusze ślubować.

Czas jakiś nie pił.

Był, jak pniak, wyrzucony z wody na brzeg, zbiedzony, smutny. Dokuczali mu ludzie, zapraszając go pozornie do kompanji. Odpowiadał wzgardliwem spojrzeniem.

Wreszcie jął pić na nowo.

— Bóg widzi Jasia — mówił sobie. — Widzi jego serce. Chce zbawić, zbawi. Wszystko On przenika: wie, kto osiust, a kto ino udaje dobrego.

Gorycz napływała weń, coraz to głębsza. On, który dawniej miał tyle słów przyjemnych dla ludzi, mało się teraz odezwał do kogo. Już i marzyć głośno przestał.

Pewnego razu rzekł stanowczo:

— Ja pojadę do Ameryki.

— Po co? — zapytał ktoś.

— Bo ja chcę na morzu umrzeć.

— ??.

— Bo ja tym ludziom tej przyjemności nie sprawię, coby ja im tu umarł.

Do takiego osądku doszedł wkońcu wszystkim dawniej życzliwy Jaś z nad brzegu.

JAK JĘDREK ŚKLARZ PO WŁOCHACH JEŹDZIŁ

1/2.

Jędrek Śklarz, młody gazda, pojechał do Ameryki. I całe lato minęło, a nie dał znaku o sobie; ani do żony nie napisał, ani pieniędzy nijakich nie przysłał. Aż niespodzianie pod jesień przyjechał. Zaraz gruchnęło po wsi — i w najbliższą niedzielę zeszli się ludzie bliżsi do jego chałupy wywiedzieć się, jak tam co porabiał, dużo pieniędzy przywiózł i usłyszeć ciekawości o morzach, o lądach. Po przywitaniach zaraz jęli się go rozpytywać:

— Jak tam w tej Hameryce? Jak wam sie tam wiedło?

— Ja nie był w żadnej Hameryce.

— To-ście ka byli bez teli cas?

— Ja jeździł po Włochach.

— ? ?

— Coz tak patrzycie... Gadam wam, zech po Włochach jeździł. Byłech w Tryjestrze, w Wenecyi i Bóg wie jesce ka. Ale musę wam skraja opedzieć...

Poprzybliżali się. Żona Jędrzka też się przybliżyła, choć już słyszała tę całą opowieść. Jędrek urósł w jej oczach. „Do Hameryki to sie

tak widzi, jak za miedzę. Kazdy tam jedzie. Ale do Włoch!... To ino jeden ksiądz probosc tam był, i teraz jej chłop drugi".

Jędrek Śklarz bez dużych próśb opowiadać począł:

— Jak wiecie, wybierałech sie do Hameryki. Ale ze to wsyscy jadą bez Hamburg, ja se udumał pojechać na Tryjestr. Bo ja juz taki wse był od casu przekorny. No i nie wiem, jakim cudem zwiedzieli sie o tym moim zamyśle w Tryjestrze, bo mi przysłali papiery, jak, ktōrędy mam jechać, i pisali, coby ino piniądze posłać, to tam juz bedą cekać na mnie ze sifkartą i zabierą mie ze sobą na morze. Ja tez, duchem świętym nie natchniony, usłuchałech dobrej rady, bo mi sie taka widziała, piniądze posłałech naprzód i pojechałech do tego Tryjestru.

Przyjezdzam tam, wysiadam, obzieram sie po stacyi — nikogo nie widzę. Juz mie cosi w serce pikło. Ale nie tracę humoru, chodzę tu i tam, popatruję — nie, nik sie nie nawija.

Idę na miasto, spytuję sie, ale trudno sie z niemrawcami zgwarzyć. Jeden pojrzy, rusy ręcami — odejdzie; drugi tak samo; trzeci cosi zamamrota — kabyś go zrozumiał; a jest i taki, co sie oześmieje. Mnie juz złoś porywa — myślę se: „Kieby tu moje były rządy, tobych was naucył, jak sie do cłeka porząmnego gada". Na scęście trafił sie Słowiak, i ten mi dopiero pokazał, jakech mu opedział wsyćko, kany sie

mam udać. Zachodzę — gmasysko wielgie, jak ministeryjo, drzwi moze ze sto: do ktorychze tu zapukać...

Pukam skraja, wchodzę, powiadam jak i co— posyłają mie dalej — tam to samo.

I tak do dziesięci razów. Nareście niby trafiłech. Powiadają mi: Było tu coś, ale niewiadomo, ktoś — powiada — papierów zażądał, ale piniądze — powiadają — nijakie nie przysły. Tak-ech zrozumiał niby z tego, co w jakimsi języku gadali.

Ja tez wpadł w złoś — co myślicie, na taki interes — jak nie zacnę teremtetować!... „Cy ja was sukał, psie jakieś? Kto mie do jazdy namawiał? Ka piniądze? Oddejcie mi tu zaraz, bo jak nie, to...“ Juz nie bacę, com im ta powiedział, bo sie straśnie zhonorzyli, zech to ich niby obrazieł, i wypchnęli mie na ulicę, powiadając, ze jak drugi raz tam przydę, to mie do policyi oddadzą.

Zeby to było tu ka blizej, w Nowym Targu, abo w Sącu, tobych tak prał był skraja... Ale coz — tam miasto wielgie — narodu moc — wspaniałoś strasecna... Moze jaki cysarz akurat przejezdzać, i ujrzy, i bedzie źle. Potem przysło mi na myśl: „Kazby oni piniądze zacyganili, kie to widać państwo duze — takie gmasysko, jak dziesięć kościołów — urzędniki powazne, jak u nas starosty... Kto wie, moze pipiądze w drodze ka zginęły, moze jesce nadej-

dą... Ale jakze ich przeprosić, skorom ich tak sklął? No moze — myślę — na jutro sie udobruchają...

Posełech w miasto, natrafiłech na restouracyę i z tego strapienia opiłech sie tak, ze nie bacę, jakech noc ka przebył, bo-ch sie na drugi dzień nalazł, sam nie wiedziałech ka. Zgratałech sie i patrzę — jakzeby mie kto pałką w łeb uderzył... Ratunku! Wsyscy święci!... Ka oko dojrzy — woda, woda i woda...

— Toście sie pewnie nad morzem naleźli? — wtrącił ktoś ze słuchających.

— Juści ze nad morzem. Ustałech, udumałech — ba! kanych ta dumał! — patrzyłech sie poprostu zgłupiały... wreście myślę:

— Bedę miał cas patrzyć jak pojadę.

Skierowałech się ku miastu. Jeść mi sie zachciało; mam wstąpić ka do jakie restouracyje — ale mie cosi w serce pikło, pomacuję po kiesen — oho! bedzies-ta! pinię dzy nie cuję. Sukam dalej po sobie — do ostatka nima. A miałech jesce ze sobą kielkanaście śrebła na wypadek. Co robić? Stoję głupi, i coraz mi jest gorzej. Wnetbych był siadł na ulicy i płakał rzewnemi łzami.

Przezwyciężyłech sie wreście. No darmo — niescęście. Posełech prosto ku tej stronie, kanych miarkował, ze panów wcorajsych najdę. Nałaziłech sie niemało, ale-ch wreście nalazł. Ino mi juz było duzo nieśmielej, gdych wcho-

dził. Wcora miałech choć trochę przy sobie, a teraz bez grajcara — widziało mi sie, ize kazdy wie o mojej zgubie. Przyjęli mie tak, jakzeby mie piersy raz widzieli, nik wcorajsego nie przybacył, ino nie chcieli ze mną gadać. Co ja do ktorego, to ten sie odwraca — i tak z koleje. Prosem ich najpiekniej jak mogę — niktora psia nie słysy. W końcu ich juz ze łzami prawie molestuję... Dopieroz naostatku pokazali mi drzwi — i na tem koniec. Wysełech na ulicę, jak całkiem pijany. „No to juz amen“ — myślę sobie — „teraz-eś juz, Jędrzku, gorsy, niz najostatniejsy zebrak. Piniądze dyabli połknęli, i teraześ juz na boskiej opiece. Kany się rusys? W jaką stronę? Ani drogi nie wies nazad bez telo krajów, ani o cem iść, choćbyś i na piechty wracał...“

Tak biadałech nad sobą, popłakując, i błąkałech sie po mieście, zgłodniały. Potem do Pana Jezusa, do wsyćkich świętych, ka jeno jaki jest, mówiłech paciorki, coby sie zlutowali nademną i wydobyli mie z te biedy.

I, widać, wysłuchał mie ktoryś ze świętych lutośniejsy, bo usłysałech naraz naską, wyraźną mową — ino ze z pańska — zapytanie:

— Skąd-ze wyście?

Aze mi serce skocyło z radości. Pojrzałech, i widzę przed sobą osobę ślachetną — no pan był jednem słowem, a mnie sie wtedy przywi-

działo, ze janioł z nieba umyśnie posłany, coby mie zbawieł.

— Ja, prosem pieknie ich miełości jaśnie wielemoznego pana, ze Saflar, od Zakopanego.

— Zaraz-ech was — powiada — po stroju poznał. A coz wy tu — pyta sie — robicie?

Ja mu tyz opedział skraja całą, jak była, historyę az do ostatka. Wysłuchał grzecnie i powiada:

— No to coz teraz myślicie?

— Nic nie myślę — odrzekę — ino cekam opatrzności, moze sie zmiełuje...

Popatrzał na mnie, obejrzał mie od kyrpców do kapelusa.

— Ładny — powiada — strój macie...

— E tak ta, nieostatni...

Uprzypatrował sie mi jesce, dumał cosi, udumał, wreście powiada z wysoka (juz mi nie dwoił):

— A nie zgodziłbyś się do mnie za lokaja?

— Hm, cy ja tyz wiem... — odrzekę, a bardzo mi sie niemile zrobiło. Lokaj, to juz najostatniejsa słuzba. Odzywam sie nieśmiało:

— Ja by tyz chciał ku chałupie sie dostać...

— No dobrze — powiada na to, trochę przychmurzony — dostanies sie du domu. Sam cie zawiezę, bo i ja do Zakopanego pojadę tem latem. Ino teraz jadę do Włoch; mógłbyś ze mną pojechać, powiada, przydałbyś mi sie w drodze...

— Ho, jak tak, to z całem sercem przystaję! — zawołałech. Choć-ech ta i nie wiedział, kany te Włochy, ani choć mi ta i nic o zasłudze nie napomknął. Taki pan jasny — pomyślałech — to mie nie skrzywdzi. Pocałowałech go w rękę.

— No dobrze — powiada — ino stroju nie odmieniaj.

Pocozbych odmieniał — rzekę — zreśtą i ni mam za co...

Dał mi zaraz na obiad i pośli-my oba wraz — to jest niby on naprzód, a ja na zadku, bo tak mi nakazował chodzić — do hotelu.

Taka, moiściewy, była opatrzność na mnie, co mie po Włochach obwiezła.

— Straśnie ciekawe rzecy powiadacie — wtrącił ktoś ze słuchających, gdy Jędrek przerwał — ale coz było w tych Włochach?

— Dowiecie sie, ho, ho, dowiecie sie niemało, ino bądźcie cierpliwi. To dopiero pocątek. Na cem ja to stanął? Aha, jak my do hotelu pośli. No nic, w hotelu jak w hotelu. Ja sie plątał, kanych mógł, a pan sie gotowieł do drogi. Kazał se dziewcynę przywieść, coby mu bieliznę poukładała....

— A od cegoz-eście wy byli?

— Ja był tak — więcej od parady. Bo potem sam mi powiedział, jak my sie juz spoufalili ze sobą, ze mie przyjął do słuzby latego, zech miał góralski strój na sobie, coby sie ze mną niby po Włochach przekazać, jako ze to jego

cłek jest, a taki siumny. Miał tyz postanowienie ozenić sie ka bogato, jakby sie trafiło, to musiał mieć, jako cłek ze ślachetnego rodu, choć jednego ze złuzby na pokaz. A juzby ta, niechwalęcy sie, lepsego nie nalazł.

— No dyć, nima wam co pedzieć... i z urody, i z charakteru... Jakze dalej z tym panem?

— Przenocowali-my w hotelu, i raniutko na morze.

— Jakto, na morze?...

— No na okręt, niby na sif po naskiemu. Straśnie wieldzaźna machina, kościół by na niej mógł stanąć. Dzieli się na dwie klasy: po jednej stronie siedzą lepsi, po drugiej zaś poślednie niejsy naród. Ja był po tej lepsej stronie. Zaraz, jak my ino rusyli, stanąłech se przy poręcy i nie mógech sie dość napatrzyć. Jakby wam to przedstawić... to tak wiecie, jakby nacetenprzykład całą dolinę nowotarską zalała, cego Boze nie daj, woda, a my po niej z tą chałupą płynęli...

— To musi być strach!

— No, zaś takiego strachu nima, bo na okręcie śmielej. Ale zawdy niepewniej, niz na lądzie. Wnet my odjechali tak, ze nika brzegu nie było widać, ino niebo i woda...

— Ej, Boze! — szepnęła trwożnie żona Jędrzka.

— Wiater dmuchał od zachodu, to sie zgurby na wodzie tworzyły, i okręt sie kołysał, az sie

na wnętrzu niedobrze robiło. Poczęły sie we wodzie pokazować rozmaite wieloryby...

— Jakiez to te wieloryby?

— Strasne potwory. Płynęły za okrętem i oździawiały pasceki, jak otchłanie ciemne — jakby cekały ino, rychło im co wpadnie. Ja sie tyz cofnął, bo coz bedę Pana Boga kusił, i zblizyłech sie ku środkowi. A tu tymcasem kielkoro ludzi zachorzało na taką słaboś, co sie morska choroba nazywa. Upatruję mojego pana — a ten nieborak tyz. Nasełech go lezącego w taki mizeryi, ze mi sie az zal zrobiło. I wstyd mie było przy ludziach, bo straśnie nie po pańsku biedota wyglądał. Siadłech nad nim i myślę se: „Jak mi tyz nieborak zemrze... uchowaj Panie Jezusie... co wtedy robić? Cheba zabrać te kufry po nim na pamiątkę i wracać nazad ze zalem...“ Ale przecie dał Pan Bóg, ze przyseł pomału do siebie. Jak my do Wenecyi dojezdzali, to juz był całkiem zdrowy.

— Kanyz to ta Wenecya?

— Jakze wam pedzieć... we Włochach, ale jesce na morzu... Miasto takie, jakiego na świecie nima.

— Jakze, to na morzu?....

— No na morzu tak stoi, jak inse na lądzie. Zamiast ulic, to woda, i zamiast fiakrów, to łodzie po mieście jezdzą.

— To dziwy...

— Mnie tyz samemu cudno było, jak oni to

zbudowali, ki dyabeł im dopomógł, bo to przecie nie na człowieka patrzy, choćby i nie wiem kielo miał rozumów.

— To tam niebezpiecno być musi, jak dyabeł fundamenta kładł.

— No, ale juz poświęcane. Kościołów tyz kielka stoi...

— Byliście w ktorym?

— Byłech we wsyćkich prawie, bo mój pan był straśnie nabozny, zadnego nie wyminął, coby nie wstąpić. Zawdy nosił przy sobie cyrwoną książkę do modlenia i modlił sie z te książki przed kazdym prawie ontarzem; casem dał mi ją na mieście, cobych niósł, ale ja na niej nic ni mógł zrozumieć, bo po niemiecku była durkowana i jakiesi niemieckie obrazki w niej były; prześlabizowałech ino na okładce jedno wyraźniejse słowo: Bae-dec-ker; ale tyz nie wiem, co miało oznacać.

Kościoły tam bogate, ze samego marmuru stawiane. Jest tam jeden kościół, pod wezwaniem św. Marka, co ani opowiedzieć jego wspaniałości. Co ino kany pieknego, to zwieźli na ten kościół — i taki aze ciężki od tych bogactw. A na wierchu ma trzy banie, znowu takie letkie, jakzeby zywcem z pajęcyny były wydmuchane.

Ale nie ino kościoły, bo i pałace wsyćkie takie strojne. Nic nima, zadnego domu, coby poprostu tak był postawiony, jak wsędy u nas po

miastach, ino na kazdym jakiesi wydziwy, ze sie napatrzyć temu nieurada.

To we dnie. A cóz dopiero wiecór!... Jak pozaświecają elektrykę, jak sie to wsyćko olśni, poozłaca, jak te światła powpadają słupami we wodę — tak, ize całe miasto, widzi ci sie, na ognistych słupach zbudowane — jak do tego jakieś pokusy dyabelskie zacną grać i śpiewać róźnie na jakichsi mostach pływających, poubieranych w gierlandy — to sie widzi: raj na ziemi... Ani takiego snu cłowiek zwycajny za zycia mieć nie godzien.

Ja tez panu mojemu wydziękować ni mógł, ize mie zabrał ze sobą. Cłowiek-by zycie zezył i nie wiedziałby, ze takie cuda dziwne są na świecie.

Nie dziwota, ze tam panowie zewsąd przyjezdzają. I w tym casie, kie my byli, było ich tam dość; najwięcy miemców. Pan mi powiedział, ze po ślubie młode państwo zwycajnie tam przyjezdza.

Jednego razu pojechalimy oba z panem na łódce na morze... Po drodze spotkalimy tyz łódkę — pozieram i widzę: siedzi w niej dwoje ludzi starych, moze koło siedemdziesięci roków, abo więcy. On se drzymie rozkośnie, a ona pończochę robi. Gondoler wiosłuje zwolna — i tak jadą... Pokazuję ich panu mojemu i powiadam: „Ci tyz pewnie poślubną jazdę odprawiają, ino sie nieco spóźnili“. Pan mówi: „Miemce“. —

„Ale to jakiś“ — rzekę —„ucćiwy ten miemiec. Obiecał jej widać przed ślubem, ze ją po Włochach obwiezie — coś przeskodziło, potem pewnie przysły dzieci, trza je było wychować — tak minęło lat śtyrdzieści — i teraz ją obwozi, jak przyobiecał. Ino trochę zapóźnawo...“ Pan sie śmiał moim słowom, bo coz miał insego robić. Juz my sie tyz pomału poufalili ze sobą. No, nie cud — zawdy my razem chodzili. Ino, jak my śli po mieście, to sie za mną prędzej, niz za nim, obzierali.

Przypatrzyłech sie tyz tam i wojsku. Straśnie to mizerne, mundur na tem wisi, jak z więksego brata na mniejsym. Nie wiem do znaku, jakby sie to biło. E tak ta pewnie od parady trzymają se wojsko.

Naród cywilny za to straśnie zmyśny. Nie chce mu sie ta poprawdzie do nicego przyłozyć ućciwie, ale za to śtuki zna lepse, niz cygański naród. On wam bedzie po morzu na kiju jechał.

— Co powiadacie? — cudowali się, nie wierząc zrazu.

— Dyć-ech sam na swoje ocy widział, nie zblizka, co święta prawda, ale znowu nie z tak daleka, cobych nie ozeznał, jak se siedział na jednym kiju, co sie tam ka-jak nazywa, drugim wiosłował, i tak jechał. Ho! ho! oni nie takie śtuki jesce znają. Dy oni wieze tak umieją puscać, jak nascy chłopi drzewa. Wiecie, jak drzewo w lesie sie podetnie, to sie naprzód wie,

kany poleci. Tak oni naprzód wiedzą, kany wieza spadnie. I za nase bytności tak jedną wiezę spuścili na placu św. Marka. Straśnie to przemyśny naród. Ino ze je biedny przytem. Zebraków tam moc, prawie co drugi człek to zebrak. Jakbyś kazdemu, co prosi, ino po cencie chciał dać, to choćbyś najwięksy majątek miał, musiałbyś wnetki zbankretować.

Ale wesołe jakieś te zebraki. Powiadają, ze sie sam rząd nimi opiekuje. Wiecór to sie kanysi chowają, abo sie tyz za panów poprzebierają, coby miastu uciechy dodawać, ale we dnie to ich pełno wsędy. Widziałech tyz kielka pałaców, co były pozamykane, a wiecór sie w nich nie świeciło. Pytam sie pana: „Cyje tyz to te pałace?" — „Nicyje" — powiada mi— „tak sobie stoją".

Bogactw jest duzo, jakech juz powiedział, ale ino po ścianach i po magazynach. Byli my w jednym, co sie muzeom nazywa, to my tam widzieli przerozmaite zbroje, ornaty, kamienie najdrozse i róznych świętych wyrabianych, a potem w pałacu takim, co w nim król mieskał za dawna, to my tam oglądali malowania, sklepy, wseleniejakie kostowności. Ale te wsyćkie bogactwa, co sie tam po tych pałacach chowają, to ino obcym na pokaz. Pytam sie pana: „Skąd oni tyz to ponabywali? W jaki sposób? Musieli chleba pokraść kany, bo przecie kupić nie kupili — bo to zebraki, to ich na to nie

stać". A pan mi na to powiada, ze to kiedysi był bogaty naród i ze miał przodków sławnych bardzo, i ci te bogactwa ponabywali: to na wyprawach, to na handlu, to wreście za piniądze gotowe sprawili — i reśtki tych bogactw wielgich, to są te zbiory, co je obzieramy. Z całego świata, powiada, zjezdzają ludzie, coby je oglądać, i za to płacą tutejsym. To jest ich zysk jedyny, bo nicem insem, ze to synowie sławnych ojców, ni mają wóli sie trudnić.

— A cemu oni tych kostowności nie przedadzą? — wtrącił któryś ze słuchaczy — mieliby piniądz na biedę, skoro taka jest, jak powiadacie.

— Ja sie tyz pana o to pytał. Powiada, ze przedać nikto nima prawa, bo samorząd jest właścicielem, a naród ino ciągnie z tego prefit, ze cudzoziemcom pokazuje. To wicie tak naprzykład: Był bogaty graf, miał zamek i na tym zamku wseleniejakie cudności, a potem przysła bieda, nas graf zbankretował — i teraz jest ino strózem w swoim własnym zamku. Przyjezdzają ze świata panowie — on ich oprowadza po salach, pokazuje, co jest do widzenia, zachwala, potem sprowadza ich po schodach na dół, otwiera drzwi, kłania sie nizko i wyciąga naostatku rękę: „Syniore, una lira!" To ma po naskiemu oznacać: „Co łaska".

Takie to miasto Wenecya, i taki w niem naród. Jakby Paniezus wsyćkie miasta, skrony

bezeceństw, jakie sie w nich dzieją, jako drzewiej Sodomę ogniem siarkowym postanowił spalić, toby to miasto z pewnością musiał wyminąć: bo telo piekne jest, co aze cud. Ludzie są grzyśni, bo zebraki — ale i w tych grzychach swoich jacysi weseli, musą być i Bogu milsi, niz poinsy naród, co to nawet i grzysyć poćciwie nie umie.

Widzieli my potem tyz miasta spaniałe, ale zadne do tego nimoze być przyrównane. Pan mój taksamo powiadał.

— Kielozeście tam casu bawili?

— Dość długo, bo aze miesiąc. Ale tam i rok za mało siedzieć.

— Toś tak próżnował tam — wtrąciła żona — a ja tu tym casem...

Jędrek poważnie, do niej obrócony:

— Widzis, jak głupio gadas, nie do rzecy... Tam wsyćko państwo próżnuje. Tam cały naród próżnuje. I to se ma za honor! Wies o tem?

Umilkła, zawstydzona, a Jędrek dalej prowadzi:

— Potem siedlimy na kolej i pojechalimy na zachód, abo tyz ku połedniowi, ktoz wie, bo tam świat sie człekowi doznaku przemienia. Tu, kany u nas połednie, to tam północ. Wsyćko jest przeinacone. Nawet po słonku trudno zmiarkować, bo sie widzi, ze nie tam wschodzi, ka trza.

Przejezdzaliśmy koło miejsca, kany sie św-

Francisek urodził, potem zaś koło miasta, skąd pochodzi św. Jantoni Padewski. Same cudowne okolice.

Potem zajechalimy do takiego miasta, co sie Bolonia nazywa. Kamienice tam podobne do sukiennic w Krakowie, bo takie mają filary przed sobą; miasto, widać, bogate; ludzie tyz opaślejsi, niz we Wenecyi; wsyćko jakiesi hrubse, więcy przysadziste. Ale i tamtejsi ludzie zmyśni są: wieze takie wam umieją stawiać, ze lecęcy stoją...

— Jak to niby?...

— No tak, ze widzi ci sie: leci... ino pozieras, kie spadnie, a ona stoi, setnie pochylona, cudem jakimsi tak w powietrzu wisi.

— To tam nie ludzka moc...

— Są tam dwie takie wieze. Strach pojrzyć. A jesce większy strach stanąć blizko ktorej. Tam w tym mieście niedługo my pobawiali, bo sie panu mojemu śpiesyło do Florencyje.

— To jaka jego pani?

— Nie, to tyz miasto. Siedlimy znowu na kolej, i jedziemy. Musielimy bez telo tunelów przejezdzać, ze sie az cnęło; było ich cheba coś ze sto. Z tego dobrze pamiętam, ize sie pan ciskał, ze sie co chwila ściemniało, bo se przekładał karty na kolanie, zołędzie i rózne inse — tak sie ta sam, nie tracąc casu, przyucał.

Ale nic dotąd blizsego nie pedziałech wam o tym panie moim. Skąd był, to ni mogę wie-

dzieć, bo i jemu samemu nieraz sie myliło, jak sie przedstawiał (nie mnie, ino drugim panom): Raz: ize jest od Warsawy, insy raz, ze z Galicyje, to znowu, ze od Poznania. Mógł być ze wsyćkich trzech miejsc, bo, jak powiadał, miał dobra ozległe i nie ino pod jednym cysarzem. Gadał, ize jest hrabią jaśnie oświeconym i zeby go tak przy ludziach nazywać.

Ja tyz ta jesce wolał, boch sie mógł przed ludźmi scycić, ize hrabiemu nie płatkowi słuzę. Lat miał moze ze trzydzieści kielka, do śtyrdziestu. Talantów miał duzo. Umiał fotografować przepieknie — mnie tak odbił na papierze, coby mie kazdy był poznał, choćby mie i nie znał przedtem. Umiał grać w karty na wselejakie sposoby i jakąsi grę jesce znał, co sie nazywa ruleta. Wykształcony był we wselkich śtukach — no jednem słowem: ucony. Straśnie był dobry cłek z niego. Ale to sie z dalsego opowiadania pokaze.

Zajechalimy do te Florencyje i zamieskalimy w hotelu, nie bacę, jak sie nazywa. Miasto rozkosne. Kwiatów tam telo — i po murach, i po dachach, i kany ino miejsce jakie — ze niewiadomo, cy to miasto prawdziwe cy ogród.

— Zeby zamiast kamienic stały ule, byłoby tyz tam miodu!... — westchnął jakiś chłopina słodkawo.

— Po za miastem jest wzniesienie; jak sie stamtąd popatrzyć, to cała dolina — az po góry

— jeden kwitnący sad. Białe, cyrwone, niebieskie, wseleniejakie zieloności. Są tam i drzewa dziwne, jak jałowce, a takie wysokie, jak smreki. Zaś te, co mają być smreki, to takie jakieś delikatne w śpilkach i we wsyćkiem, zebyś wnet na ktoryten powiedział: pani smrekowa, a nie smrek.

Ale wróćmy do miasta. Jest tam na środku kościół taki wielgi, ze sie aze myśl stracha na samo wspomnienie, jak oni go hań ku górze stawiali. A cały jest po wierchu z białych i carnych marmurów.

— Ho! ho! moiściewy — dziwowali sie słuchający — co to za cuda dziwne...

— Zreśtą to tam juz nic godnego nima. Sklepów pełno, jak wsędy po miastach. I to niepotrzebnie po za sybami wystawiają — po to, coby ino ludzi kusić na wsyćkie grzychy główne. W jeden dzień wziął mie pan ze sobą do takiego gmachu, co nic w nim nima, ino same obrazy. Sal telo, co ani porachować, a we wsyćkich obrazy po ścianach wisą — i to od góry do dołu, — a niektóre takie są ogromne, ze całą ścianę zabierają. Chodziło tam duzo państwa i przyzierało sie tym obrazom. Ja sie tyz pocął przyzierać. Niektóre sie mi podobały. Były tam malowania takie doznaku, jak zywe. Dość-ech sie nacudował, kto tyz to umiał tak udać. Ale niektóre były i takie, co je bezbożniki jakieś musiały malować: niby to święta,

a — wybaccie — goła, nawet zapaski nima na sobie.

Myślę se: po co tyz to telo tego na kupie? Wywieźć na jarmak i przedać. Byłoby sporo centów, a tak sie marnuje.

Upatrzyłech se w jednej sali nieduzy obrazek, co mi sie straśnie spodobał, i chciałech kupić do chałupy. Pytam sie pana: „Kielo-by tyz za ten obrazek chcieli?“ Pan sie oześmiał i powiada, ze nie przedadzą. „Jakto? to nie na przedaz?“ — „A nie“ — powiada — „to ino na pokaz“. Zreśtą, powiada, choćbych miał całą wieś, toby mie nie stać było. „Kieloz oni to cenią?“ — pytam. „Ze dwieście tysięcy“. Myślałech, ze śpasuje. Ale coby! Tak te Włochy umieją panów osukować. Ja se tyz myślę:, „Niech ze se mają, skoro sie tak drozą“. Juz nawet nie chciałech patrzyć. Błąkałech sie po salach, bo pan jesce ostał jakimsi paniom towarzysyć.

Im dłuzy my tam w tem mieście siedzieli, to bardziej Włochom na gorse wychodziło, bocb sie przekonował co dnia, jaki to okpiśny naród. Dyć oni nawet swojego rodzonego cysarza osukują. Jakich oni tam urzędów ni mają! Są tacy, co chodzą i nosą przy sobie zygarki, cyby sie ich tyz kto nie spytał, która godzina — i za to se kazują płacić. Abo taki urzędnik: Chodzi jak dzień długi po mieście, trzyma latarkę na snurku, zeby do ziemi dostajała, bo mu sie schylić

nie chce — i suka, cy kto cego nie zgubił... Słyseliście? A są wreście i tacy — tych najwięcy — co juz całkiem nic nie robią. Bóg lutościwy, ze ich odziewa i karmi, bo jakby na mnie padły rządy, tobych to wsyćko z kretesem wymorzył. „Zyjze hyclu“ — powiedziałbych — „ale ja ci nic nie dospomogę“.

— To oni wam ta musieli setnie dojeść — ozwał się któryś ze starszych — izeście tacy na nich dobrzy. A tak-eście ładnie ozpoceli...

— No nie, najgorsy cały naród nie jest, to ino tam w ty Florencyi... Wiecie, cem oni nas tam zywili?

— ?

— Ślimakami i bobem; i dyabeł wie cem jesce, bo ja sie nie tknął tego.

— Ehę, temu to!

— Podają obiad. Pan osobno je — ja osobno. Naprzódy jakieś pomyje zmącone. Pan odstawia. Przynosą mnie. Powąchałech i mówię: „Weź se“. On powiada: „La zupa kon prosiuto!“ — „Ehę, to właśnie prosięciu dej, nie mnie“. Podają drugą potrawę. Pan próbuje widelcem— odstawia. Przynosą mnie. Patrzę — jakiesi smaty z cyrwonego mięsa. „Jaby ci to jadł? Weź se“. Podają trzecią potrawę. Ta sama historya. I tak dalej. Wreście hycel przynosi coś zakrytego na talerzu. Patrzę — ślimak jakisi. Ledwoch wytrwał, zech mu tego ślimaka do garła nie wepchnął. Naostatku — juz zły wi-

dać, ale sie uśmiecha, jakby chciał rzec: „To wam przecie juz musi smakować“ — podaje bób we strąckach, świezy i jesce mocno niedojrzały. No! tom se pomyślał: „Pan Bóg cie, hyclu, głodową śmierzcią ukarze“. I posełech spać. Nie wiem, co pan robił. Ale musiał pewnie cosi z tego zjeść, bo na drugi dzień skarzył sie mi na brzuch — i potem juz z tym brzuchem do końca tak było.

Wreście my postanowili jechać do Rzymu.

— Hej? To tam Rzym jest? — spytały razem ciekawe kumoszki.

— Rzym jest, i Jerozolima, i wsyćko jest we Włochach.

— To-ście i w Jerozolimie byli? — pytały dalej niewiasty, patrząc na Jędrzka, jako na świętego.

— Nie, tam my juz nie dojechali, bo panu pinięedzy brakło.

— To-ście na piechty mogli dojść. Tak blizko...

— Jakze w tym Rzymie? — pytali ciekawsi.

— Pockajciez, nie spieście sie, wsyćko bedzie na cas. Jak my postanowili pojechać, tak my siedli na kolej, i jedziemy. A jesce zabacyłech wam powiedzieć, ze tam z temi kolejami jakiesi cygaństwa być musą. Na kazdej stacyi otwierają wsyćkie wagony na oścież, i kazdy wchodzi, ka mu sie podoba — nie tak, jak u nas, co wsyćko po sprawiedliwości wyzamy-

kane, i trza, chcący jechać, pieknie prosić, cobytyz kany wpuścili. Tam telo płaci zebrak, co i poćciwa osoba — wsyćko sie ze sobą miesa; cheba dopiero Pan Bóg na tamtym świecie bedzie dzielił i ustawiał po klasach według sprawiedliwego osądku, bo tu juz nie da rady — trudno ozeznać: kto dziad, a kto bogaty — kto złodziej, a kto ino udaje świętego. Ale jedźmy do Rzymu.

Po drodze nie bedę się długo zatrzymował, bo tyz ta i nie było wiela na co patrzeć. Ziemia goła, aze wstyd — a trafi sie jakie drzewo, to sie tak biedne konarami modli, ze sie az płakać chce. Nic tam nie sadzą, ino morowe jakieś drzewa. Nic tyz nie sieją. Ani kapusty ani ziemniaka, ani owsa — nic nie uświadcy na polu. Ziemia tak próznuje darmo. To tyz Pan Bóg im nie błogosławi.

Przyjechaliśmy do Rzymu — juz sie mrokcyło, światła zapalili. Na stacyi telo piekła, ze choćby sto jarmaków zegnał w jeden kosar, to nie byłoby głośniej, myślę. Co ino łakomstwa w Rzymie, to sie tam zleciało. Ten ci zachwala hotel taki, ten taki, ten znowu insy — tamten juz głos stracił od krzyku, ręcami ino jakieś znaki daje — a wsyćko jak osalałe. Tak, jakby ratować chcieli podroznych z jakiego niescęścia strasnego. Otocyli pana całkem, widziało sie, ze go juz zagłusą. Miałech mu skocyć na pumoc, ale nieporada było, bom dźwigał ku-

fry przy sobie, a potem obskocyła mie zgraja dokoła — i dalejze mi pomagać... Ten ciągnie w prawo, ten w lewo, ten w tę, ten w ową stronę — widziało sie, ze mnie juz ozerwią, bom kufrów z rąk nie wypuscał. A drą się, jak wsyscy dyabli. Mnie tyz złoś porwała wściekła, i wrzasnąłech na cały głos: „Psia krew!!" (To pierse słowo, com w Rzymie wypedział. Ale trza było, bo jakze. Niech mi Paniezus tego nie pamięta — juz-ech tyz zmazał na spowiedzi). Odskocyła zgraja na bok tak, jakby pieron w nią trzasł. Zrozumieli. Widziałech, ze po polsku mozna sie ozmówić, ino trza ostro, bez bojaźni.

Pan, widać miękcejsy, zgodził sie juz tymcasem z jakimsi złodziejem, i ten go wepchnął do takiego wozu, co jest jak skrzynia z oknami. Chciałech pana ostrzedz, zeby sie nie dawał tym osiustom do rąk, ale juz było zapóźno; jakech nadsedł, to pan już siedział w ty skrzyni. Mnie kazał pan wyleźć ku furmanowi i kufry wycisnąć na dach. Coz było robić — pojechalimy — alech słowa przez całą drogę bez miasto, do furmana nie pedział. Nie było tyz casu gwarzyć, choćbych i miał był ochotę, bom sie ozglądał na obie strony — „przecie to Rzym!" myślę se. Ale jakoś nic na to nie pokazowało. Kamienice, jak wsędy po miastach, nawet nie takie cudne, jak we Wenecyi. Gwaru, turkotu doś — i telo piersego dziwu. Zajecha-

limy do hotelu. „Przecie ten nas nie ocyganił“ — myślę. — „Moze tu przecie jest ludzi więcy ućciwych, jak nie“.

Zaraz na drugi dzień rano prosiłech pana mojego, coby mi tyz pokazał, ktōręḍy sie idzie do św. Pietra abo Pawła, bo bych tyz chciał podziękować Bogu, ize mie tu scęśliwie i tak niespodziewanie doprowadził. Pan zaś był telo dobry, ze sam sie ohfiarował ze mną iść na miejsce.

Przyślimy przed kościół św. Pietra, i tamech sie piersy raz w Rzymie zacudował. Kielo tyz to stopni trza przejść, zanim sie wejdzie do kościoła! Budownicowie przez to pewnie to chcieli pokazać, ze telo stopni jest do nieba.

W kościele w środku nie jest tak pieknie, jak u św. Marka w Wenecyi, ale tyz za to gmasysko okropne — pięć naskich kościołów w nim by sie letko schowało. Zastanowiło mie to, ze ludzi nie duzo było w kościele. U nas sie gnietą, kościół nie moze pomieścić, i na polu stoją pod dzwonnicą, a tu taka przestronność, i nikogo prawie. Mse św. sie odprawiały, a mało kto ich słuchał. Kielkoro pań i panów chodziło od jednego ontarza do drugiego, jakby na jaką pokutę; niektórzy modlili się z cyrwonych ksiązek, podobnych, jak mój pan miał. Ja sie tyz pomodlił, jakech umiał, niewycytajęcy, podziękowałech Panu Jezusowi za wsyćko, cegom nie godzien, i świętemu Pietrowi ohfiarowa-

łech parę paciorków — zreśtom nie było tam juz co robić.

Posukałech pana, bo mi sie kanysi stracił i upatrowałech, cy tyz nie ujrzę ka Ojca świętego, bom wiedział, ize niedaleko mieska. Myślałech se w duchu, ze moze zajrzy do kościoła, abo msę św. bedzie miał... I co ktory ksiądz sie nawinął, to mnie juz nogi podrywało. Ale zaden nie widział mi sie godny. Dopiero potem pan mi wytłomacył, ze Ojciec św. ze rzadka zjawia sie w kościele i to nie tak poprostu, jakby se kto myślał, ale ze słuzbą i ze wspaniałością wielgą, jak przystoi. No ale ja tyz ta, jak człek głupi, nie wiedział zrazu o tem.

— To-ście Ojca świętego całkiem nie widzieli? — pytały zawiedzione słuchaczki.

— Widziałech go tak zblizka, jak was tu widzę, ale do tego dopiero dojdziemy. Teraz my są w kościele św. Pietra, to nie przerywajcie, boby sie mi pomiesało.

— No juz nic, opowiadajcie, bo to wsyćko święte rzecy, co mówicie, ani człek nie godny widzieć — przypochlebił ktoś ze starszych, i Jędrek Śklarz do wątku opowiadania powrócił.

— Znalazłech wreście pana w jedny z pobocnych kaplic. Stał z jakiemisi paniami dwiema; jedna była starsa, druga młodsa, tak, jakby jej córka. Poznałech zaraz, ze to te panie, co były w tym casie we Florencyi, kie i my byli. Miało

mi przyjść na myśl: kto tyz za kim jeździ — cy my za niemi, cy one za nami? Ale ze to w kościele było, tom juz nie chciał obrazać Pana Boga głupością światową. Skłoniłech sie ino grzecnie, jakech umiał, i stanąłem z boku. Dosłysałech, ze po naskiemu rozmawiali, i widziałech tyz potem, ze o mnie mówili, bo mój pan na mnie ocami wzkazował, ale udawałech dobrze, ze nic o tem niewiem, nawet przygłuchnąłech trochę na tę chwilę. Dyabeł mie kusił, coby podejść blizy, ale ja sie nie dał skusić, bom i tak bez jego porady słysał, choć-ech ta i przygłuchnął wrzekomo, ize pan sie chwalił mną i powiadał, ze juz od dawnych lat u niego słuzę, a panie sie zaś ciekawiły moim białym strojem. Miałech se pomyśleć: „Zeby mi to pan za te lata zasługę policył, to niechby ta juz była prawda, zech słuzył" — ale ze to w kościele świętym było, tom se juz nic nie pomyślał, ino mówiłech paciorki do obrazu, co był wymalowany na ścianie, i pozierałech niewidocnie, rychło sie mój pan uwolni. Ale kabyś ta! Ofiarował sie jesce do jedne kaplice z niemi.

Poślimy wraz, bo i ja tyz — ino mi pan pocichu sepnął, coby nie w parze iść przy nich, ale w odległości niejakiej za nimi. „Ja tyz ta jesce wolę" — powiedziałech, ale poprawdzie, to mi sie to nie podobało. Zrazu, jakech nastał, taksamo mi przykazował, ale potem to my cho-

dzili wraz oba, i jesce mu było śmielej przy mnie. I teraz znowu przy ludziach... No ale dumam: „Pan jest na to, coby miał swoje humory. Ja mu ta ojcem nie bedę. Miał jednego, i ten go tak naucył, to coz on winien?“ I posełech za niemi do te kaplice. Niezałowałech potem, bo tyz było sie cemu przypatrzyć! Jest tam całe piekło, i niebo, i sąd ostateczny, i co ino było na świecie i bedzie, to tam wsyćko jest wymalowane. Ba, to nic, wymalowane — ale słysałech, jak pan tym paniom objaśniał, ze to sam święty Michał Janioł wymalował!

— Moiściewy, to-ście wy juz zupełnego odpustu na wiecne casy dostąpili, skoroście przy takich rzecach byli, ktore ino w niebie, jak Bóg lutościwy da komu, oglądać bedzie mozna — mówili słuchający, a Jędrek nie przeczył temu i dalej ciągnął swoje.

— Potem wyślimy na miasto, odprowadzilimy te panie do mieskania — niedaleko od pałacu Ojca św. mieskały — i wrócilimy do swojego Bokacio, bo takie przezwisko miał nas hotel. Wesoło tam w tym hotelu było, ino to było niedobrze, ześ juz bez całą noc oka nie godzien był zmruzyć. Co chwila, to „sur — sur“ po za ściany, jakzeby sto kóp mysy wesele swoje odprawiało, to znowu śmiechy takie, jakzeby sie boginki gziły. Nie wiem, jak ta panu mojemu sie spało, bo my nie razem sypiali, ale cheba ze nijako, bo sie doś często na głowę uskarzał.

Ucisało sie dopiero ku ranu — cłek sie radował, ze sie zdrzymnie choć na tę małą chwilę— ale cobyś!... ledwoch zemzał — jak wrzaśnie ktoś z ulice!... Piersego dnia, tom sie zerwał na równe nogi. Myślałech, ze sie Rzym pali. Wyzieram oknem kany co takiego — a to mała skucina, Włoch, wiezie na wózku zieleninę i tak sie drze okropnie. Jakby go kto ze skóry łupił. Legam na nowo — znowu! „Zebyś na wieki ochrypnął" — zycę mu juz we złości. O je za chwilę trzeci, cwarty — i tak do śródpołuń. Za parę dni tom juz całą tę letaniję wrzasków znał na pamięć. Ledwo sie na świt namieniało, juz woła: „Insalata! salati!", potem: „Spinaci! lasparagi!", i juz nie bacę dalej. Skoro z jarzyną przestali, zacynało sie z gazetami. „La Tribuna! Avanti! Il popolo!" i dyabeł ta juz wypamięta reśtę. A to na rozmaity sposób: jeden krótko, jakzeby go w podeswy parzało, drugi przeciągle, jakzeby go na wolnym ogniu przypiekał, insy załośnie, jakzeby mu ociec przed godziną skonał, a kazdy ino w tem ma pychę, zeby sie najgłośni udrzyć.

Po paru dniach poznałech już wsyćkich po głosie. Jeden był — ten co najwceśni zacynał— taki juz z tym głosem przeobmierzły, zebych był wolał wilka na pustym polu usłyseć. Jednego rana pan woła na mnie bez ścianę: „Idźno Jędrek, uspokój go, bo mi głowa pęknie". Mnie tyz ta nie trza było dwa razy gadać. Ja

juz dawno miał złość na tego hycla, bo widać na despet tu sie tak darł, coby nas skłócić — zdalsa słychać go było duzo cisej. Zebrałech sie w ty minucie, nawet-ech kyrpców nie obuwał, wypadłech na ulicę, dołapiłech go i omłóciłech po pysku w porządku. Byłbych go był i więcy ukrzywdził, ale mie lutoś wzięła, bo to nikłe było, myślę se: „Bees miał doś“. Wróciłech do stancyje — pan sie bez ścianę pyta: „Coz tam?“ — „Juz uspokojony“ — odpowiadam. „Dobrze“ — mówi — „ale coz to za krzyki?“ Rzecywiście słychać było krzyki i hałasy z dołu. „Pódę wyjrzyć“ — powiadam. Ledwoch do schodów doseł, a tu sie wali cała hurma Włochów, krzycą, gdakają jakoś po swojemu i chcą mnie ocywistnie zahareštować. „Jakim prawem?“ — pytam sie — „Ja tu nie swój, bo ja słuzę u pana“. Ci nic, ino do mnie. Ja tyz: „Jak nie ustąpicie“ — mówię — „to was wsyćkich co do jednego wymietę!“ Na to wyleciał mój pan bez ubrania i zacął z nimi w ich gwarze sie kłócić, dopieroz mie opuścili, ale nie odeśli, aze im pan zapłacił dwadzieścia lirów, jako štraf za mnie, bo sie pokazało, izech nie tego uspokoił, co trza, ino insego jakiegoś przechodnia. Potem pan mi powiedział, ze mnie ino latego nie zamkli, ize mnie za niepocytelnego podał. No dobrze, myślałech se, ale to głupie mają prawa, bo choćbych i cytelny był-to przecie ten cłek, com go niechcęcy ukrzyw-

dził, ni miał na gębie napisane: nie ten. Niech mu ta Bóg grzychy odpuści. Ani wie zebrak do dziś, za co odpokutował.

Potem wolałech juz cierpieć, a nie dałech sie prędkości porwać. Klątech ino, jak mi duzo tymi wrzaskami dopiekli, i najwyzy zycyłech im takiego samego dobra. Myślałech se tyz rozmaicie, na ten przykład: „Od cego tu rząd jest, ze tych hyclów nie połapie i nie pozamyka. Zeby to jesce ka indziej sie darli, no niechby, ale w samym Rzymie! Oni pewnie na despet tak Ojcu świętemu... coby oka nie zmruzył... Biedny i on — myślę se — tak musi pokutować niechcęcy, jak haw i ja. Święty jest, to sie nie gniewa, ale na insego... toby wyklął z kościoła — niechze sie hycle w piekle drą po śmierci!"

I jesce róznie se myślałech, ale juz bez gniewu. Jak mi ten Ociec święty przyseł na myśl, ize je taki cierpliwy, tak i mnie złoś opuściła, i dodawałech przy kazdym paciorku: „Ohwiaruję Ci tyz, Panie Jezusicku i Wam Józefie święty, te wsyćkie utrapienia, jakie od tych hyclów doznaję na uprosenie łaski przenaj świętse, na odpuscenie wsyćkich grzychów moich, i na większą chwałę Twoją. Amen".

— No dobrze, wsyćko ładnie — przyświadcyli, skoro Jędrek wytchnął — ale o Rzymie nic nie opowiadacie, a my ciekawi...

— Miałech właśnie zacąć skraja, i przerwa-

liście mi. Jakze o Rzymie?... Przecie to nie osiedle, cobyś obseł dookoła i powiedział o niem zdanie: takie, a takie... Przecie to miasto — właściwie trzy miasta w jednem okolu: stary Rzym, co sie juz ozwalił, nowy, co jesce stoi, i najnowsy, co sie dopiero stawia, ale brakło im widać pinędzy, i ni mogą go skończyć; widziałech rzędy kamienic niepodokańcane — niebo bez okna świeci — i tak stoją, nikto koło nich nie majstruje.

Byli my i w starym Rzymie. Dziwne to tam doprawdy, małoktory gmach coby był cały, a niektóre całkiem ozsypane. Ale tyz dziwni i ci cudzomiemce cy Jangliki, co po tych zwaliskach chodzą; kazdy słup obwąchają, kazdy kamień spróbują, cy słony, jak natenprzykład owce, kiedy spotkają kruch soli. Oni by tam pewnie, jakby mogli, cały Rzym po kamieniu, po cegle oskradli — i za sto lat miejsce by ino świadcyło, kany Rzym stał. Takie te Jangliki zmolne.

Byli my i tam z panem, kany chrześcijan męcyli. Strasne gmasysko, przeogromne. Ani do cego przyrównać. Cały Nowy Targ wnetby sie w niem zmieścił. Do sądnego dnia pewnie bedzie trwać na hańbę i na świadectwo przeciw okrutnikom.

Byłech tyz w jednej pogańskiej bóżnicy, co sie podmuchom wieków obalić nie dała — niech mi tego Paniezus na Sądzie nie wspomni —

bo mie ciekawość parła zajrzyć, co oni to tam, jakiego cielca ćcili. Ale nic nie było w środku; wysełech stamtąd duzo zawiedziony.

Za to potem, Bogu niech bedzie niewymowno, byłech cosi w stu kościołach abo we więcy, bo trudno było dorachować. A jescech i tak połowy nie doseł.

— To tam sie dopiero ludzie modlą! — wtrąciła któraś z kumoszek zazdrośnie.

— Cały dzień pewnie, i mają cas na to...

— Hale! Tyz za to, ze telo kościołów, to sie z nimi oswoili, i tak sie im to widzi równo, cy kościół cy co insego. Nijakie ćci nie widać. Byłech na paru nabozeństwach, tom sie przypatrzył i przysłuchał wsyćkiemu. Ludzie se chodzą, rozmawiają, nikto na księdza uwagi nie daje. Dopiero jak na chórze zacną śpiewać, to sie w kościele ucisa. A po śpiewie zaś to klaskają w ręce podobnie, jak to w tyjatrze. Ale wyście nie widzieli. To wiecie tak, jak to małe dzieci, kiedy są rade cemu.

— Co wy tyz opowiadacie!

— To wiecie tak tam nabozeństw słuchają...

— Ani sie wierzyć nie chce.

— Nie wierzcie, jak nie chcecie, ja was nie bedę przymusał. Ale to święta prawda, co wam opowiadam. Jakzeby ja miał odwagę o Rzymie kłamać?

— Juści ze trudno, bo jakze... o to was tyz nik nie posądzi, broń Boze, ino sie tak dziwno

zdaje... To i księzy musi tam być duzo, skoro telo kościołów?

— Ba! Księzy jest takie mnostwo, ze az ciemno. Nie ino miejscowi są, bo sie z całego świata tam zjezdzają. Ulicą nie przejdzies, zebyś dziesięci najmniej nie napotkał. Biedne niektore takie, ze aze zal.

— Z cego oni tyz tam zyją?

— No ci co miastowi, to pewnie z kościołów. A reśta to sie moze u Ojca świętego wiktuje. Ale cekajciez, nie przerywajcie mi, niech opowiadam skraja, bo mi sie miesa. Takby my do ućciwego końca nijak nie dotarli. O, natenprzykład, jedno, com powinien był opedzieć wceśni, dopiero teraz mi przychodzi. Jednego odwiecora pojechalimy z panem na korso...

— Coz to takiego?

— Jakze wam pedzieć... Bo sie to właściwie nic tak nie nazywa, zadne miejsce, ino to ma oznacać miastowy obycaj. „Na korso" to tak, jakby powiedzieć „na przejazdzkę". Co dzień nad wiecorem o ty samy godzinie przyjezdza państwo w powozach do ogrodu na górkę, co sie Montepincio nazywa i skąd cały Rzym widać, i tam se zabawę stroi, przejezdzając dokolutka potym ogrodzie po dwadzieścia i więcy razy.

Pan najął powóz, kazał go ubrać we kwiaty, taksamo tyz i konie, mnie kazał siąść na wysokiem siedlisku przy furmanie i ręce tak na

piersiach załozyć, a sam se siadł na nizsem — i pojechalimy. Państwa juz jezdziło duzo — mijali sie, doganiali, i znowu nazad — a co ktory powóz to ładniejsy. Jeden był, co sie odróżniał od wsyćkich. Konie carne, jak kruki, poubierane w bielutkie gierlandy, furman i lokaj na przodku, a w powozie, na ktorym były herby malowane, siedziała ino jedna pani, straśnie piekna i wystrojona, tak, ze sie az w ocach mieniło, gdyś pojrzał. Pan mój kazał furmanowi, coby koło tego powozu jeździł bez przestanku, tom sie mu miał cas przypatrzyć. Widziałech, jak ta pani pozierała na mojego pana, i on tyz na nią—myślę se: „Na cosi sie zanosi". Zycyłech z duse panu, bo widać godna osoba i majątek musi mieć niemały, skoro w takiej paradzie se jeździ.

Pan miał postanowienie zrazu ozenić sie z tamtą, co była z matką u św. Pietra, ale sie okazało, ze i ona tyz majątku patrzy — i tak sie ni mogli zgodzić.

„Dobrze sie stało" — dumałech se — „bo zaś co do te w powozie, to ani przytykać; tamta mogłaby ślebodnie za pokojówkę być u te hrabine, i niktby nie powiedział, ze to nie pasuje". Myślę se: „Zebych ta strykem był mojego pana, tobych mu ino tę raił, i sambych na namowiny poseł i potela bych nukał, azby sie przeznacenie wypełniło". Widać przeculа, com se w duchu myślał, bo pozierała i na mnie łaska-

wie. Skoro my sie raz zjechali tak, ze konie sły w parze, dojrzałech, jak rzuciła kartkę mojemu panu do powozu. „No to juz dobrze“ — pomyślałech i nie omyliłech sie. Pan był potem cały cas uradowany i mnie dał lirów kielka. Złozyłech niewycytajęcy jeden na ohfiarę, na to, coby sie panu w tym interesie poscęściło, bo by ta i mnie co więcy kapło z te obfitości.

Do te hrabine pan często zachodził i mnie raz posłał z listem. Ale trafiłech na taki cas, ze jesce nie była ubrana, i wstyd mie było straśnie; jakisi pan tam u nie był, moze brat abo dochtór, bo sie je nic nie wstydził.

W tym casie byli my tyz u Ojca świętego...

— No, przecie! — ozwał się głos w gronie słuchających niewiast. Niektóre, dalej siedzące, wstały i bliżej podeszły.

— Ale to juz musę jakiemusi świętemu przypisać, ize mnie tam doprowadził, bo to nie tak łacwo, jakby sie wam mogło zdajać.

Pan mój, jako ze ślacheckiego rodu, wystarał sie za pretekcyą znajomego księdza cy biskupa, ize miał być dopuscony przed święte oblice z kielkoma osobami wysokiego stanu. Jakech sie ino o tem zwiedział, molestowałech pana, coby mie ze sobą przywziął. Ale pan zrazu powiadał, ze to nimoze być nijakim zywym sposobem, bo tam ino jako pielgrzym — i to nie sam jeden — człek prosty moze być dopuscony. „To ja bedę, jako pielgrzym“ — mówię —

„i nie sam bedę, bo z panem". Na to pan sie oześmiał. „No, skoro tak gwałtem chces" — powiada — „to cie wezmę, ale nie dalej jak do drzwi, za ktoremi bedzie Ociec święty. Mozes tam na mnie pockać i mozes sie tymcasem poozpatrować po salach".

Nie było mi to na wólę, ale coz miałech robić. Dobre i to. Myśle se: „Niechze bedzie, jako bedzie". Skoro ten dzień przyseł, wystroiłech sie, przeobułech nowe onycki, a pan sie na carno ubrał — i pojechalimy.

W bramie pałacu wstrzymała nas warta, ale nas potem przepuściła, skoro pan papier pokazał i cosi z oficyrem porozmawiał. Jakech wstępował po stopniach, to mi tak serce biło, zech sie o ścianę musiał oprzeć cosi ze trzy razy. Dziandary stały na kazdym zakręcie — po dwoch straśnie wojennego wzrostu. Alech se potem pomyślał: „Przecie tu Ociec święty mieska, nie zaden strasny munarcha — coz sie mam bać?" i juz-ech śmielej za panem moim postępował.

Zaślimy wreście do sali, kanych miał na pana cekać. Ozglądnąłech sie — doznaku tak, jak w kościele: marmury, wyzłacania, malowania rózne. Przy jedny ścianie stało dwoch rycerzy w mundurach zółtych z białymi paskami, cy tyz na odwrót, bo nie bacę. A zaś blizy drzwi stało kielku panów i rozmawiali po cichu ze sobą. Pan sie tyz ku nim przyblizył. Myśle se:

„To pewnie za temi drzwiami bedzie Ociec święty“. I tak-ech sie nieznacnie zaposuwał, ze-ch sie nalaz blizy drzwi, nizeli panowie. Stoję se, niby tak bez zadnego zamiaru, a medytuję: „Zeby sie tyz to jako dostać do Ojca świętego, coby mie ino pobłogosławieł. Niech juz potem bedzie, jako chce“, Porusenie sie jakiesi zrobiło za drzwiami. Panowie sie przysunęli. Mnie serce zadygotało, nadsłuchuję... Pan mi powiada: „Nie pchaj sie“. Ja udaję, ze nie słysę. Kaz sie bedzies człowieku grzysny pchał, jak nie do zbawienia?

W te razy drzwi się otwarły, i tum wyraźnie ucuł łaskę boską, bo mnie widać ze stroju wzięli za ślachcica, a o panu moim myśleli, ze to mój lokaj, i mnie naprzód przepuścili. Nie wiem, jako sie ta sprawiał, i cy go potem dopuścili, jak im wyłozył omyłkę, bo ja juz na nic nie uwazał, ino prościutko — jakech wseł — do Ojca świętego... Dziś go widzę, jak se siedział na wysokiem krzaśle — biały gołąbek, chudziutki, zmizerowany, zbiedzony, ze mi sie go aze zal zrobiło. Jesce mu na tę głowę świętą jakisi ciężar włozyli, ze sie aze zgiął pod tem... I tak se siedział, a koło niego stało paru księzy cy biskupów, bom sie im nie przyjrzał dobrze. Gruchnąłech przed nim na kolana — łzy mi sie do oców cisły... „Ja tyz nie godzien“ — jąkam — „ale mie tyz niech pobłogosławią, jak Ich przenajświętsa wóla“... Pojrzałech z dołu ku niemu

załzawionemi ocami, on tyz parę łez nademną upuścił — i tak my se oba zapłakali. Potem przemówił cosi po łacińsku, a potem wyciągnął rękę, pobłogosławił mie urocyście i dał mi na ostatku pierścień do ucałowania. Wstałech, jak winem najlepsem opity i wysełech tak letko, jakbych skrzydła miał nie nogi. Wychodzęcy pomyślałech se: „Zeby sie to tak do nieba bez omyłkę dostać"...

— No, toście juz nalepsego na świecie doznali, nie zal wam bedzie i umrzyć — mówili słuchający, zazdroszcząc w duchu Jędrzkowi.— A jakze z panem wysło?

— Nie wiem, jak, powiadam, bo ja na górze na niego nie cekał. Zaraz-ech zeseł nadół, bom sie i obawiał trochę, ze moze być źle z tego, jak się postrzegą. Pan mi tyz nic nie pedział, bo zły był na mnie straśnie. Ja se ta nic z tego nie robił — miałech za to błogosławieństwo; to, myślę, więcy warte, jak pańska przychylnoś. Zreśtą myślę se: „Wygniewa sie, to sie i wydobrzy". I tak tyz było. Długo nic do mnie nie gadał, a potem pomału zacął, ino mi zadziesiątał raz na zawse, cobych sie nigdy nikany nie pchał przed nim piersy. Ja mu tyz posłusnoś przyobiecał, bo coz mi to wadziło.

Zreśtą, ka by ta był o tem jednem myślał wse, skoro insem miał głowę zajętą. Coraz to częściej zachodził do te hrabine, co my ją na korsie spotkali. Juz sie poważnie tem zajął. Spodziewa-

łech sie, ze wnet usłysę o weselu, i juz-ech kyrpce stroił. Ale potem nie wysło tak, jakech se dumał, bo zawdy jakiś dyabeł musi popsuć sprawę. Przyjechała z Hameryki jakasi jangielka, brzyćka jak niescęście, ale powiadali o niej, ze ma piniądze wielgie, milijony. I pan— juści nie dziwota — wolał więksy majątek, jak mniejsy. Kanysi się z nią poznajomił, i potem jej juz ciągle towarzysył; kiedy nie-kiedy ino zajrzał do hrabine. A ta jangielka nie bardzo była mu rada. Widziałech, zeby mnie była wolała.

— Dzis go, zbereźnik! — wtrąciła żona Jędrzkowa.

— Nie bój-ze sie, nie, bo i dyabeł na piniądzach siedzi, a bez to nie jest przyjemniejsy... A co zaś, ze mie ta chciała, to la tego mówię, ze jak pan zauwazył, kie my wraz oba z nią byli, ize ona z nim rozmawia, a do mnie zęby wyscerza, tak mie juz nie brał ku sobie, ino mie ostawiał, i sam jej chodził usługować.

Ja tyz ta jesce wolał, bom sie tymcasem mógł wyspać i po Rzymie se pochodzić, jak sam pan. W tym casie poznajomiłech sie z malarzami z polskiego kraju, co sie tam w Rzymie ucyli malować. Straśnie to wesoły naród, i taki śpasowny, zebyście sie im uśmiali!

Chodziłech z nimi po mieście — cuda mi popokazowali. A raz mie wzięli do siebie do Skoły i odmalowali mie całego, jak stoję. Py-

tali sie mie, cy dobrze. Ja im na to: „Dobrze by było, ino ze kyrpców widać zaden z was nie sył, bo nie takie są, jak mają być". Śmiali sie temu i powiedzieli mi, zech jest chłop grecki, to niby znacy: do rzecy, zech im sie udał.

A raz znowu pojechałech z nimi za Rzym do tego miejsca, kany św. Pawła ścięli. Jest tam klastór spaniały, mieskają w nim zakonniki, nie bacę ino, jakiego zakonu. Mają se sklep przy kościele ze świętemi relikwijami i wysynk święconej wódki, którą sami umieją robić. Nazywa sie ta wódka jakoś... kaliptówka... cy tyz jesce inacy, nie bacę. Dwoch bracisków synkowało. Popili my sie ućciwie, i bracisków my opoili setnie. Prosili mie towarzysz coby im „zbójnickiego" zatańcować. Sprawiałech sie, ze nie umiem. Ale ci nic ino: „Musis! musis!" Juz my sie przy ty wódce pobracili. Ja tyz zatańcyłech im „cyfrowanego" naskiego... Powiadam, ze to zbójnicki — uwierzyli. A dwa braciski tak sie śmiały, ze sie az po ziemi walały. Wesołe były zebraki. Na odchodnem kupiłech niewycytajęcy dwie relikwije święte po korunie, ino nie bacę z jakiego świętego; przyniósłech haw babie, niech se ta ma.

— Mozebyście tyz udzielili — szepnęła któraś z kumoszek do Jędrzkowej.

— Kiedy tyz nima co dzielić — broniła się — bo tak, jak ziarko.

— Wróciliśmy do Rzymu — ciągnął Jędrek—

wesoło, głośno, jak z jarmaku. Wsędy sie za nami obzierali.

Alech sie musiał wnetki z tymi malarzami rozstać. Jednego rana pan powiada: „Zbieraj sie Jędrek, pojedziemy“. — „Cy juz ku chałupie?“ — pytam sie. — „Nie“ — mówi „pojedziemy do gór“. Jangielka tam pojechała, i pan postanowił za nią. Miałech powiedzieć panu: Co sie tyz to po górach za babami włócyć, kie ich tu dość, alech juz nic nie powiedział. Spytałech sie ino, rychło wrócimy. Pan powiedział, ze moze nie prędko i zebych wziął, co potrza. Powyjmował rzecy niektore, cobych do mniejsych kufrów zapakował, i skocył pozegnać sie do hrabine. Tego tom juz ni mógł pojąć. „Tu do jedne, a tam za drugą... Jak to moze być?“ Alech se pomyślał wreście: „Cy ja mu strykem abo ojcem? Oświatę ma więksą, niz ja, to on ta juz wie, co robi“.

Wyjechalimy ze Rzymu koleją na wschód cy tyz na połednie — bo, jakech juz powiedział, całkiem mi sie strony świata poprzeinacały — i jechalimy bez Antykol i bez kiela miast mniejsych, ale juz nie bacę ich nazwy. Co mi sie wydawało dziwne, to to, ze nikany wsi nie widać było. Myślę se: „Kany tyz tu chłopski naród mieska?“ Dopierom sie późni miał dowiedzieć.

Zajechalimy do miasta, co sie nazywa Subijako; tam my z koleje zesiedli. Patrzę — górzyska przed ocami, ze wierchów trudno doj-

rzeć. „Jakze my tam w te Tatry pódziemy?“— pytam sie pana. — „Mozeby my tu zacekali na tę panią?“ Ale pan se ani przykładać nie dał. „Zaraz — powiada — wyrusymy“. Tak go za tą jangielką gnało. „Ba! wyrusyć mozemy“ — mówię — „ale jakoz? ja z pakunkami, pan na piechty“...

— „Nie tróbuj sie“ — powiada.

Podseł do Włochów, co stali niedaleko z ręcami w kieseniach, i porozmawiał z nimi, a ci pośli i przyprowadzili za chwilę dwa bydlęta, co sie w tamtejsej gwarze nazywają granda bestya i pikola bestya to znacy: muł i osieł. Stały te stworzenia smutne i smiesne przytem, co niemiara, a pan tymcasem ugodził sie za nie i poganiaca najął.

„Jakoz my to na tem pojedziemy?“ — pytam sie, skoro pan nadseł — „Dy to takie stworzenia, zeby cłek płakał nad nimi i śmiał sie. Jabych za zycie na tem nie chciał jechać“. Ale pan nie uwazał na to, kazał mi włozyć pakunki na grandę bestyę, a sam wsiadł na pikolę — rusylimy — ja koło grandy, podtrzymując pakunki, bo sie wazyły na boki, poganiac za nami z kijem. Była tyz to jazda, była! Skoda, zeście nie widzieli. Uśmialibyście sie.

Zaraz za miastem droga sie wznosiła i sła na skos przez uboc, a potem coraz stromiej ponad przepaście. Pan jechał na przodku — jak sie juz rzekło — na tej pikoli bestyi, ja za panem

przy grandzie, a za nami poganiac z bijakiem. Co sie tyz ten całą drogę nadarł! Juz se uzył za wsyćkie spokojne casy. Co chwila, to: „Avanti!“, co miało znacyć: „wio!“ A zadne go nie słuchało. Osieł seł tak, ze juz cheba powolniej trudno, a muł za nim jak za prefesorem. Casem poganiac doskocył, to go udarł kijem, to sie wtedy muł rusył o pół kroku więcy; trzy ćwierci juzby było za duzo. A osieł nic, nawet pół ćwierci nie przyśpiesył. Seł zadumany, i widziało sie, ze na cały świat nie uwaza. Ale to ino na pozior, bo w gruncie rzecy myślał ciągle, jakby sie cięzaru pozbyć. Rosły cierniaki koło drogi, to choć miał miejsca doś na drodze, umyśnie zbocył ku cierniakom i tak sie o nie otarł bokiem, ze pan w niebogłosy wrzasnął. Abo znowu ponad przepaścią seł na samym kraju, na ostatnich kamykach, choć drogę miał wolną. Co sie tyz pan strachu najadł, to ani, ani — za zycie bych nie chciał.

Śródwiecerz był, jak my sie pod wierch wydostali. Minęli my zakręt. Pojrzę w górę — i ocom swoim nie dowierzam. Widzę jakiesi mury koło wierchu, jak zamki nieprzystępne. Okna sie świecą — wyraźnie widać domy... Zdumiony pytam sie pana: „Co to?“ — Powiada: „Miasto, do ktorego jedziemy“. — „Hej! tak-ze mi pan mógł gadać! Ja myślał, ze ka w jakie turnie... Miasto na górze! Cud świata“. Pozieram i myślę se: „Hej! musi tam być

wesoło!" i przynaglam grandę bestyę, ale kabyś ta poradził. Droga sie robiła coraz bardziej stroma i ledwośmy sie pomykali.

Widziało mi sie zdołu, ze za godzinę tam będziemy, a tu dobre półtrzecia godziny usło, nim my do murów dobili. Wjezdzamy... i jakby mie kto pałką po łbie przywitał... Smród, brud, no jednem słowem — ućciwsy was i te obrazy — nawóz.... Pojrzę na pana — i jemu sie niedobrze zrobiło. Ino jeden poganiac, jakby nowe fantazyje nabył, wywija kijem i wykrzykuje co głosu moze wydobyć: „Avanti!"

Na to zahucało tak w mieście, jak w ulu, pełnym trzmieli. Ze wsyćkich okien pocęły sie wychylać głowy rozmaite — najcęściej śniade, kosmate, i nieumyte — i pocęły latać słowa, wykrzykniki niezrozumiałe; jednoch se ino zapamiętał, co sie cęściej powtarzało, to jest „forestjeri!" Nie wiem, co to miało znacyć, ale na to, jak na hasło, pocął sie naród zewsząd zbiegać, i wnet całe miasto sło juz za nami z okrzykami, jakby sie nas tu od wieków spodziewali.

Myślę se: „Cy tyz to nie pogany, i cy nie wzięli pana mojego za Mesyasa. Zdajać sie moze i to, ze na ośle wjechał". Tu mi przysło zaraz: „Ze jakby tak, toby nam tu było dobrze. Dbaliby o nas, dawaliby, coby ino dusa zapragnęła. Niechze ich tyz ta duch święty nie oświeca, pokiela my są — myślę se — boby my duzo byli stratni". Tak mie ta myśl opętała,

zech jak w osołomieniu postępował. „Coz ja w takim razie? — To ja apostół“. I przybierałech twarz, jak na apostoła. Ino mi to przeskadzało, zech musiał co chwila uskakować, coby onycek nie skalać w nawozie.

W takiej paradzie postępowalimy po stopniach, bo tam ulice były jak schody, az my sie wydostali na jakiś plac nieduzy. Tu mój pan zlazł z tego osła, mnie polecił pakunki zdjąć z grandy bestyi, a potem odrachował poganiacowi piniądze, za jakie sie z nim ugodził, i kazał, coby se bydlęta pojął. Poganiac na to, niby ze sie mu mało widzi, co mu pan dał, powiada: „Syniore! jo sono molto fatigato!“ I nijak nie chce ustąpić. Ja tyz, chcąc panu dospomódz i pokazać Włochom wsyćkim, ze ja ich gdakanie rozumiem, a przytem i reśpekt zbudzić, jak nie skocę ku niemu: „Tyś molto fatigato? Ty?“ A więcy-ch wrzaskał, nizeli-ch sie złościł. Odrazu stał sie pokorny. „Widzis“ — powiadam — „granda bestya jest molto fatigato, bo ona dźwigała pakunki! Ino sie nie zabier wartko!“ Nic juz nie pedział, zajął bydlęta i pognał.

Wtedy mój pan zwrócił sie do ludzi, stojących wokoło i zacął sie rozpytywać. Dopieroz i ja mógłech sie im przyjrzeć. Wsyscy byli chłopy, choć nibyto miastowi, ani jednego pana między nimi; mieli na sobie obcisłą przyodziew, na nogach kyrpce, kapeluse nieduze na głowach; włosów widać nie strzygli, bo im spa-

dały w strąckach koło syje; rośli byli i śmigli, a na twarzach carniawi i śniadzi, ocami patrzali bystro, i nic nie mieli przyjemnego w sobie. Oświaty tyz zadne nie widać było na nich. Jak miasto było brudne, tak i oni. Juhasi z Tater wyglądaliby przy nich jesce biało. Kobiety tyz ta niewiele inakse.

Przypatrowałech sie i myślałech se: „Skąd sie tyz to takie miasto wzięło, po co je tu wymurowali, co ci ludzie tu robią, z cego zyją, bo przecie cheba kamieni nie gryzą“. — Wtedy pan sie zwraca do mnie: „No, Jędrek, ni mamy tu co długo popasać, bo tu ani hotelu, ani gospody, ani nic nima. Musimy wracać“.

„Jakoz“ — pytam sie — „a kanyz ta pani jangielka, za którą my przyjechali?“ — „Nima jej juz“ — powiada — „Była, obejrzała i pojechała dalej. Kto wie, kany jest teraz“. Zły był i stórbowany wielce. „No niech se pan uwazy“ — mówię, bo mi sie go zal zrobiło. — „Baba, to jak koza. Choćbyś ją najbardzi chciał dogonić, jak sie uprze, to ją nie dogonis. Juz je tu, juz je haw — kark mozes skręcić, jakbyś seł za nią, ka sie jej zabazy. A choćbyś ją i dołapieł, to je jesce nimas. Babę trzymać w ręcach, to tak jak mgłę“. — „Głupiś!“ powiada mi pan we złości „Moze i to być“... Niesprzeciwiałech sie, bo coz, w takim interesie, to ja by sie jesce bardzi złościł. „A ni mozna by tyz tu co dostać zjeść?“ pytam sie pana nieśmiało, bo od Rzymu

nic nie miałech w gębie, i pan tyz musiał zgłodnieć. „Dyabła!“ — mówi — „juz-ech sie pytał. Nic ni mają, cheba kozie mleko“... Tfu!... splunąłech, bo mi sie zbacyło, jak mie raz u jednego komornika pocęstowali, niech im Bóg nie pamięta, dobrzy ludzie. „To to koziarze. Widać... Z cegozby insego zyli? Ale po co im to miasto, te murowanice? Skryłby sie hycel pod krzak, jakby niepeć przysła, i byłoby. Po co ludzi ćmić z daleka miastem. Ale widzą pan — mówię — jak oni nas opatrują, jak ocami taksują kuferki. To niebeśpiecny naród“... —

„No, zbieraj sie!“ Przynagla pan. „No dyć dobrze, ja gotowy, pakunki zaraz bierę“ — mówię — „ale jakze tak na piechotę... przecie tu moze mają jakie bydlę, coby pan na niem zjechał“... — „Nic nima“ — mówi — „ani osła, ani zadne rzecy, ktora jego jest. Leć wartko, zatrzymaj poganiaca, niech zawróci“.

Poleciałech w te pędy, dostałech sie wnet na otwartą drogę — widzę go zdaleka, wołam — ten nic, jak głuchy. Zleciałech na dół i dopadłech go na zakręcie. „Dawaj pikolę i bestyę!“ — mówię zdysany — „abo grandę, abo obie wraz. Co tchu!“ I zastąpiłech bydlętom. A ten kijem wywija i zagania. Nie chce. „Zjadłeś dyabłów! Ja cie tu bedę prosił!“ Porwałech osła za chomont i ciągnę. Ale kabyś z bestyą... Zaparł sie wsyćkiemi śterema nogami, i ani rus. A Włoch ręce włozył w kiesenie i patrzy. Taka

mie wiecie wtedy złość porwała, zebych był osła zabił, i tę drugą bestyę, i tę trzecią. Ale jakiś święty ustrzegł. Ludzie jacysi dochodzili, toz to mi opamiętanie przysło. Zwróciłech sie do poganiaca i zacąłech mu na rozum wykładać: ze niech sie nie boi, ze zarobi, ze tych ludzi na świadków bierę... Ale nie, nie dał se wyłozyć — pognał.

Coz było robić. Ńakląłech mu ino w duchu i zawróciłech nazad. „Co tyz to za naród!“ — myślałech se idęcy w górę — „ani tak z nim, ani owak, jak i z tym osłem“... Pan na mnie cekał, rozmawiał z Włochami. Niecierpliwił sie juz widać. Skoro mie dojrzał: „Coz?“ pyta sie wartko. „Nie chce zawrócić. Pognał“. Pan podumał chwilę. „No, bier kufry, i pódziemy“. I poślimy, ale insą drogą, o której panu powiedzieli, ze je krótsa i do insy stacyje prowadzi.

Uślimy juz kawał setny... Moiściewy! jak nas tyz złapił dysc, to sie widziało, ze nas do znaku zatopi. Nie strugi, ale potoki z chmur, z nieba prościutko na nas leciały. Wyznalimy tyz! Ja jesce, jak ja — to mi ta nie dziwne, choć takiego naremnego dysca to u nas nie bacę — ale pan mój juz ledwo lazł, taki był biedny. Zal mi go było doprawdy, choć-ech i siebie lutował, bo mi kufry ocięzały od wody i gniełły plecy. Pociesałech go, jakech mógł. „To nic“ — mówię — „to przeleci, choć nas ta pomocy“... To znowu chciałech go oześmiesyć, i mówię:

„Prosem pieknie, niech mi tyz powiedzą, jak sie ten kozi wierch nazywa, niby to miasto, ka my byli... Bo bych chciał to imię zapamiętać dzieciskom na przestrogę, jakby sie im cego zachciewało"... Pan ino załośnie na mnie pozierał za kazdem słowem, tom juz potem i nic nie gadał.

Dostalimy sie wreście do stacyje. Ale suche nitecki nie było na nas. Pan sie odrazu do cekalnie zamknął i przebrał sie doznaku, a ja juz taki mokry musiał ostać.

Potem pan zawołał, cyby ni mozna co dostać zjeść. Dali nam ośle synki, bo nic insego nie było. Kiedyindziej byłbych nie spojrzał nawet na to, a wtedy mi tak ta synka smakowała, jak nigdy nic w zyciu.

Pan jesce w kolei trząsł sie od przeziębienia. O jangielce nie dał se wspomnieć i z te złości, jak my do Rzymu przyjechali, poseł zaraz do hrabine i nie wrócił, aze nazajutrz koło połednia.

W Rzymie nie długo my juz potem byli. Ino kielka dni. Pan postanowił powrót. Mieli-my jesce do Neapolu pojechać, ale pan duzo piniędzy pozycył hrabinie i juz mu brakło. Nie załowałech, ze my tam nie pojechali, bo raz, zech ku chałupie pociągał, a potem słysałech, jak ktoryś z malarzy mówił, ze „widzieć Neapol i umrzeć" z tego widoku... to mie tyz nie bardzo ciągło.

Wracaliśmy insemi drogami, samemi kole-

jami, az sie cnęło. Jechalimy oba z panem w trzeciej klasie, bo jak-ech juz powiedział, piniędzy nam nie wystało.

Pan jechał smutny i mało co bez drogę gadał. Ozcymałech mu, jakech mógł, ze wsyćko bedzie dobrze, ze choć jangielkę dyascy kanysi ponieśli, to z hrabiną sprawa pewna, skoro koucya załozona — niech sie nie trapi — ale nieporada go było ozbawić. Wreście i dałech spokój, bo i mnie myśl ku chałupie uciekała, skoro my sie zblizali, jak tyz ta co, cy w domu zdrowi, cy zbiórki bedą na polu...

Ozstalimy sie z panem na nasej stacyi, pan pojechał ku Zakopanemu, a ja zaś poseł ku chałupie. I to wsyćko. Jak Bóg pozwoli, kie, to go przy casie odwiedzę.

— To-ście dudków nijakich nie przywieźli?— spytał w końcu człeczyna, który cały czas przydrzymywał i słowem się nie wtrącał.

— Piniędzy bom nie przywiózł — odrzekł Jędrek — ale com uzył, com uwidział, com sie naucył, to tego nie kupiłbych za cały swój grunt. I wiecie, co se pomyśluję... ze kto wie, cy Paniezus umyśnie nie zesłał pana, aby mie w Tryjestrze spotkał, a moze i ci, co mi piniądze ukradli, byli od ktoregosi świętego natchnieni.

163
71

Treść:

140
16
156
73

I. „Miłość pasterska"

1. Wojtusiowe lato
2. Schronisko
3. Jak Jędruś chciał...
4. Południe (Jak....)
(5. Jaś z nad brzegu) Południce
6. Jak Jędrek Sklarz... 7. („Szarsia")

str. 156

III. Komornicy.

II. „Czary"

1. Kościelny
2. Bieżkowa Łysina
(3. Jaś z nad brzegu)
4. Lingerska w kraju żalów
5. Berkek Nidzi, a...
6. Czary
7. O duchach, zmokach i śmierci
8. Pyszny moment
9. Okulary guwernera
10. Wspomnienia Witkiewicza
11. Witkiewicz i budarze
12. Juzyna
13. Niedowiarek (?) 14. O pielęgniarce R.
15. O Wojtku, k...
16. Piękna pani
17. Śmierć ...

112 str
+ 26
138
140

IV. „Bajka i powieściopisarz"

1. Herkules nowy.
2. O Wojtku, który się..
3. O planetniku
4. Jedna bajka i powieściopisarz
5. Wesele Prometeusza
6. „Napoleon"
7. O św. Martynianie
8. Zemsta meteoru
9. Schronisko
10. Świt nad Lens
11. Lód

I.

Czary

1. Kościelny
2. Jaś z nad Bugu
3. Błażkowa tysiąc.
4. Lingwista w kraju Zulów
5. Bartek idzie w partję polityczną.
6. Czary
7. O duchach, znachorach i śmierci
8. Okulary guwernera
9. Przykry moment
10. Wspomnienie Witkiewicza
11. Witkiewicz i budarze

II.

1. Baje i powsinogów
2. Herkules nowożytny
3. O Wojtku, którego nie straszono przekleństwami
4. O Przemytniku
5. Jak Jędrek Sklep
6. Wesele Prom.
7. „Napoleon"
8. O św. Marcinie
9. Zemsta malarza
10. Lis
11. Świt

III. Miłosne pastorałki

1. Połednie
2. Jak Jónuś chorý
3. Schronisko
4. Wojtusowe lato
(5. Jak Jędrek ôkłam..).
6. Połednice
7. „Swaśba“.
8. „Na borach“. } z Rozdoł.

Jaś z nad brzegu

—

„Komornicy.“

Nowele.

I. „Mił. past."

1. Południe
2. Jak Józuś chciał
3. Schronisko
4. Wojtusiowe lato

Listy ze wsi:

a)
1. Lingwadka
2. Bartek N[illegible]
3. Czary
4. O Duchach

b)
5. Okulary święcone

II. „Herkules now."

Herkules now
Jednej Boże i [illegible]
O Wojtku, którego
„Przykry moment
Opowieść o pierwiosnku
Lis
Jak Jędrek [illegible]..

Nad urwiskiem.

1. Jurgwa
2. [illegible]

III. Wesołe Prometeum

Wesołe Prometeum
Świat
„Napoleon"
O św. Martynianie
Zemsta mełana
„Kościelny
„Jaś z nad Bugu

Dr Sichrawa
Komisarz rządowy
Nowy Sącz

Dziękuję serdecznie za życzenia

Władysław Orkan